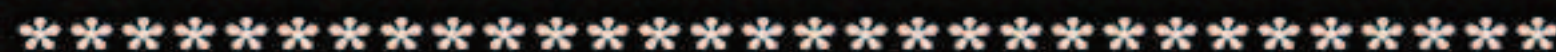


# Arthur Conan Doyle



# Znak Czterech



**ARTHUR CONAN DOYLE**

# **ZNAK CZTERECH**

**PRZEL. KRYSZYNA JURASZ-DĄBSKA**  
**THE SIGN OF FOUR**

## I. SZTUKA DEDUKCJI

Sherlock Holmes zdjął z kominka flaszka, a potem z malej walizeczki wyciągnął strzykawkę. Ręką o długich, nerwowych palcach osadził cienką igłę i podwinął lewy mankiet koszuli. Przez chwilę spoglądał w zamyśleniu na muskularne ramię, pokryte niezliczoną ilością znaków po ukłuciach, wbił igłę, nacisnął tłok strzykawki i wreszcie z westchnieniem ulgi zatopił się z powrotem w pluszowym fotelu.

Już od wielu miesięcy trzy razy dziennie byłem świadkiem takiego zabiegu, a mimo to wciąż jeszcze nie mogłem się z tym pogodzić. Przeciwnie, co dzień bardziej denerwował mnie ten widok, a potem wieczorem sumienie nie dawało mi spokoju, że znów nie zdobyłem się na ostry protest. Ciągłe postanawiałem, że muszę powiedzieć szczerze, co o tym myślę, ale chłodne, nonszalanckie zachowanie mojego towarzysza nie zachęcało bynajmniej do wtrącania się w jego sprawy.

Znałem jego zdolności i władczą pewnością siebie i tyle już razy przekonałem się o jego niezwykłych przymiotach, że nie śmiałem mu się przeciwstawić.

Tym razem jednak — nie wiem, czy pod wpływem francuskiego wina, które piłem przy lunchu, czy może zdenerwowany wyraźną ostentacją jego postępowania, poczułem nagle, że nie zdołałem już milczeć dłużej.

— I cóż to było dzisiaj? — zapytałem. — Morfina czy kokaina?

Powoli podniósł wzrok znad otwartego właśnie starego tomiska.

— To? Kokaina, roztwór siedmioprocentowy — odparł. — Może chciałbyś spróbować, doktorze?

— O nie — rzuciłem szorstko. — Nie doszedłem jeszcze do siebie po wojnie w Afganistanie. Nie mogę sobie pozwolić na żadne dodatkowe wysiłki.

Uśmiechnął się słysząc, jak gwałtownie oponuję.

— Może masz rację, Watsonie — rzekł. — I mnie się wydaje, że działanie kokainy na organizm jest ujemne, ale tylko w sensie fizycznym. Bo jeżeli idzie o stronę psychiczną, to, moim zdaniem, wpływa na umysł niezwykle podniecająco i rozjaśniająco, dlatego też wszelkie jej uboczne działania niewiele mnie obchodzą.

— Ależ pomyśl tylko — zacząłem z powagą. — Oblicz, jakim kosztem twój umysł osiąga stan, o którym mówisz. Przecież to efekt patologicznego i chorobliwego procesu, który polega na spotęgowanej przemianie tkanek i może pozostawić w efekcie trwale osłabienie. Wiesz zresztą sam, jak ciężko płacisz potem za te przelotne chwile przyjemności. I dla nich to ryzykujesz utratę ogromnych zdolności, którymi tak szczerze zostałeś obdarowany. Zaprawdę — gra niewarta świeczki. Pamiętaj, że przemawiam nie jako przyjaciel, lecz także jako lekarz do człowieka, za którego zdrowie do pewnego stopnia czuję się odpowiedzialny.

Nie wydawał się dotknięty moimi słowami. Wręcz przeciwnie; opierając łokcie na poręczach fotela splótł palce obu rąk gestem, który wskazywał na wyraźną chęć rozmowy.

— Mój umysł buntuje się przeciw beczynności — rzekł. — Gdy mam przed sobą jakąś pracę, jakiś problem, najbardziej zawiły szyfr czy ogromnie skomplikowaną analizę, jestem w swoim żywiole i nie potrzebuję sztucznych podnieci. Lecz nuda codziennej egzystencji mnie przeraża. Tęsknię za jakąś umysłową podniętą i dlatego wybrałem właśnie swój zawód, a raczej stworzyłem go, bo takich jak ja specjalistów nie ma więcej na świecie.

— Czyżby? Jedyne prywatny detektyw? — spytałem unosząc brwi.

— Jedyne prywatne detektyw — doradca — odparł. — W sprawach detektywistycznych jestem ostatnią, najpoważniejszą instancją. I Gregson, i Lestrade, i Athelney Jones, ilekroć są już zupełnie bezradni — to zresztą ich stan chroniczny — z każdą trudnością przychodzą do mnie. Ja zaś, jako rzeczoznawca, rozpatruję wszystkie dane i wypowiadam opinię. W takich sprawach nie oczekuję uznania, moje nazwisko nie pojawia się w żadnej gazecie. Sama praca, sama satysfakcja, że mam pole do wykazania swych szczególnych zdolności, to moja największa nagroda. Lecz i ty sam, doktorze, poznałeś moją metodę pracy w trakcie sprawy Jeffersona Hope.

— To prawda — potwierdziłem gorąco. — Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Opisałem to potem w małej broszurce o trochę dziwnym tytule „Studium w szkarłacie”.

Ze smutkiem potrząsnął głową.

— Tak, przejrzałem to. I mówiąc szczerze, nie bardzo mogę ci gratulować tego dzieła. Nauka detektywistyczna jest, względnie być powinna, nauką ścisłą i tak jak do każdej nauki ścisłej, powinno się do niej podchodzić chłodno i nieemocjonalnie. Ty, doktorze, chciałeś te sprawy zabarwić romantyzmem, co daje efekt taki, jak byś próbował włączyć w piąty aksjomat Euklidesa jakąś przygodę miłosną czy ucieczkę młodej dziewczyny z kochankiem.

— Ależ to było romantyczne! — zaoponowałem. — Nie mogłem przecież zmieniać faktów!

— Pewne fakty należało pominąć lub przynajmniej potraktować z wyraźnym poczuciem proporcji. Jedyne godnym wzmianki punktem było ciekawe rozumowanie analityczne ze skutków o przyczynach, rozumowanie, dzięki któremu udało mi się wyjaśnić tę sprawę. Nie bardzo mi się podobała krytyka książki, którą pisałem specjalnie, by zrobić mu przyjemność. Zirykował mnie też egotyzm przyjaciela domagający się widocznie, aby każda linijka omawiała tylko jego wyczyny. Niejednokrotnie już, odkąd zamieszkaliśmy razem na Baker Street, zdołałem zaobserwować, że pod pokrywką spokojnego i dydaktycznego zachowania mego towarzysza chowa się trochę próżności. Zmilkzałem jednak i zwróciłem uwagę na chorą nogę. Przesztelono mi ją niedawno i chociaż mogłem już chodzić, odczuwałem dotkliwe bóle przy każdej zmianie pogody.

— Moja praktyka rozszerzyła się ostatnio na kontynent — rzekł po chwili Holmes nabijając starą fajkę z korzenia głogu. — W zeszłym tygodniu zasięgał mojej porady Francois le Villard, który jak ci zapewne wiadomo, wysunął się obecnie na czoło francuskiej policji kryminalnej. Posiada on wprawdzie celtycką intuicję, ale brak mu wszechstronności naukowej, tego zasadniczego warunku rozwoju w jego zawodzie. Chodziło o jakiś testament i sprawa miała pewne niejasne punkty. Przypomniałem mu dwa podobne przypadki — jeden w roku 1857 w Rydze, drugi zaś w 1871 w St. Louis — i to mu nasunęło właściwe rozwiązanie. O, dziś dostałem ten list z podziękowaniem za pomoc.

Mówiąc to rzucił mi pognieciony arkusik zagranicznego papieru listowego, z którego odczytałem całą litanie najróżnorodniejszych zachwyty w rodzaju „*coup de maître*”, „*tour de force*” i „*magnifique*” świadczących o uwielbieniu Francuza.

— Pisz jak uczeń do mistrza! — zauważyłem.

— O, przecenia trochę moją pomoc — odpowiedział Sherlock Holmes niedbale. — Sam jest człowiekiem bardzo utalentowanym. Posiada dwa z trzech warunków na idealnego detektywa, a mianowicie: dar obserwacji i dedukcji. Brak mu tylko wiedzy, ale to przyjdzie z czasem. Teraz tłumaczy na francuski moje pomniejszych prace.

— Twoje prace?

— Co, nie wiedziałeś? — zawołał ze śmiechem. — Owszem, owszem, mam na sumieniu kilka monografii. Wszystkie traktują o sprawach technicznych. Na przykład w tej: „O różnicy między popiołami rozmaitych gatunków tytoniu”, wymieniam sto czterdzieści najróżniejszych typów tytoniu cygar, papierosów i fajek i dodaję kilka kolorowych tablic ilustrujących różnice między

nimi. Te rzeczy zawsze wpływają w procesach kryminalnych, a niekiedy posiadają kapitalne wprost znaczenie poszlakowe. Jeżeli, na przykład, można z całą pewnością stwierdzić, że morderstwo popełnił człowiek palący indyjską *hookah*, to znacznie zawęży pole działania. Dla doświadczonego oka różnica między czarnym popiołem po tytoniu „trichinopoly” a białym pyłkiem z „ptasiego oczka” jest równie jaskrawa, jak dla kogoś innego różnica między kapustą a kartoflem.

— Jesteś zaiste geniuszem w takich drobiazgach.

— Doceniam po prostu ich znaczenie. A oto moja monografia na temat śladów stóp zaopatrzona w pewne uwagi odnośnie utrwalenia odcisków za pomocą zwykłego gipsu. Tutaj znowu widzisz ciekawą rozprawkę o wpływie zawodu człowieka na kształt jego ręki, z ilustracjami rąk kamieniarzy, marynarzy, ścinaczy korka, kompozytorów, tkaczy i szlifiery diamentów. Dla detektywa–naukowca rzeczy te posiadają wielkie zastosowanie praktyczne, zwłaszcza jeżeli idzie o ciała nie rozpoznane albo o fakty poprzedzające morderstwo. Ale dosiadłem już ulubionego konika i zanudzam cię moimi wywodami.

— Ależ broń Boże — zaprzeczyłem gorąco. — Przeciwnie, bardzo żywo to mnie interesuje, zwłaszcza odkąd miałem okazję śledzić praktyczne stosowanie tych metod przez ciebie. Wspomniałeś jednak o zmyśle obserwacji i dedukcji. Otóż wydaje mi się, że w pewnym stopniu jedno wpływa z drugiego.

— Nic podobnego — odpowiedział wyciągając się w fotelu i puszczając gęste kłęby dymu z fajki. — Na przykład zmysł obserwacji powiada mi, że dzisiaj rano byłeś w urzędzie pocztowym na Wigmore Street, umiejętność dedukcji natomiast, że wysyłałeś stamtąd telegram.

— Racja! — zawołałem. — W obu wypadkach racja. Przyznaję jednak, że nie mam pojęcia, jak na to wpadłeś. Poszedłem tam pod wpływem nagłego impulsu, tak że nikomu nie wspominałem nawet o tym zamiarze.

— Nic prostszego — odpowiedział śmiejąc się na widok mego zdumienia. — To tak absurdalnie proste, że nieomal nie wymaga wyjaśnień, choć może ułatwić oznaczenie granicy między obserwacją i dedukcją. Zmysł obserwacji podszeptuje mi, że do twojej podeszwy przyczepiła się mała czerwona grudka ziemi. Akurat naprzeciwko urzędu pocztowego przy Wigmore Street rozkopano jezdnię i wyrzucona ziemia leży w taki sposób, że po prostu niepodobna jej ominąć.

Ziemia w tym miejscu posiada właśnie ów specyficzny czerwony kolor, jakiego nie znajdziemy nigdzie w okolicy. Tyle mówi mi mój zmysł obserwacji. A teraz dedukcja...

— Ale jakim sposobem wydedukowałeś, że wysyłałem depeszę?

— No, widziałem przecież doskonale, że nie pisałeś dzisiaj listu, bo całe przedpołudnie siedziałem naprzeciwko ciebie. Widzą także teraz w otwartej szufladzie twego biurka arkusik znaczków i gruby plik kartek pocztowych. Po cóż więc chodziłeś na pocztę, jeżeli nie po to, by wysłać telegram? Wyliminuj wszystkie inne możliwości, a to, co ci zostanie, będzie prawdą.

— W danym przypadku jest tak istotnie — odpowiedziałem po krótkiej chwili namysłu. — Jednakże, jak sam stwierdziłeś, zagadnienie należy do najprostszych. Czy uważałbyś mnie za bardzo bezczelnego, gdybym chciał wypróbować twoje zdolności jakimś poważniejszym testem?

— Wprost przeciwnie. Uchroni mnie to bowiem przed drugą dawką kokainy. Będę zachwycony każdym problemem, jaki ci się tylko nasunie.

— Mówiłeś kiedyś, że człowiek musi pozostawić na każdym przedmiocie codziennego użytku swoje indywidualne piętno, które oko doświadczonego obserwatora potrafi odczytać. Popatrz więc, oto zegarek, który dopiero niedawno przeszedł w moje posiadanie. Czy zechciałbyś opisać mi charakter i przyzwyczajenia jego ostatniego właściciela?

Wręczyłem mu zegarek z lekkim uczuciem rozbawienia, ponieważ uważałem, że z pewnością nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, i zamierzałem w ten sposób oduczyć go owego z lekka dogmatycznego tonu, jaki niekiedy przyjmował. Sherlock chwilę kołysał zegarek w dłoni, popatrzył uważnie na tarczę, otworzył tylną kopertę i zbadał werk — najpierw gołym okiem, a następnie przez szkło powiększające. Ledwie mogłem się powstrzymać od śmiechu na widok jego zgnębionej miny, gdy w końcu zatrzasnął kopertę i oddał mi zegarek.

— Nie ma na nim prawie żadnych danych — zauważył. — Zegarek był ostatnio czyszczony, co pozbawia mnie najbardziej przekonujących argumentów.

— Masz rację — odpowiedziałem. — Oczyszczono go przed wysłaniem do mnie.

W głębi duszy jednak uznałem, że mój towarzysz w bardzo niezręczny i niezadowolający sposób stara się usprawiedliwić swoją nieudolność. Jakież bowiem wnioski mógłby wyciągnąć z nie oczyszczonego zegarka?

— Moje badania, choć niecałkowicie zadowolające, nie były jednak tak zupełnie bezowocne — zauważył po chwili Sherlock wpatrując się rozmarzonymi, pozbawionymi blasku oczami w sufit. — Z zastrzeżeniem sobie poprawek z twojej strony odważyłbym się twierdzić, że zegarek należał do twego starszego brata, który z kolei odziedziczył go po ojcu.

— Zapewne domyśliłeś się tego z liter H.W. wyrytych na odwrocie.

— Oczywiście. Litera W. sugeruje twe własne nazwisko. Zegarek wykonany został przed pięćdziesięciu prawie laty, a inicjały są równie stare. Zegarek należał więc do kogoś z poprzedniej generacji. Biżuteria przechodzi przeważnie na najstarszego syna, który najczęściej nosi imię ojca. O ile sobie przypominam, ojciec twój nie żyje już od wielu lat, zatem zegarek był w rękach twego najstarszego brata.

— Jak dotąd, wszystko się zgadza. Może jeszcze coś?

— Był to człowiek nieporządny — bardzo nieporządny i niedbały. Rozpoczął karierę pod bardzo dobrymi auspicjami, nie wykorzystał jednak nadarzających się sposobności, przez długi czas żył w biedzie, choć jeszcze kilka razy przelotnie uśmiechnęła się do niego fortuna, a wreszcie, rozpiwszy się, umarł. To wszystko, co mogłem wyczytać.

Z sercem przepelnionym goryczą zerwałem się z krzesła i zacząłem kuśtykać po pokoju.

— To niegodne ciebie, Holmesie — wykrzyknąłem. — Nigdy bym nie przypuszczał, że zniżysz się do czegoś podobnego. Znasz skądś historię mojego biednego brata, a teraz udajesz, że wydedukowałeś to wszystko w jakiś tajemniczy sposób. Bo nie będziesz mi chyba wmawiał, że to wszystko wyczytałeś z jego starego zegarka? To doprawdy nieładnie i jeżeli mam być szczerzy, zakrawa na szarlatanerię.

— Mój drogi doktorze — odpowiedział łagodnie — bardzo cię przepraszam. Rozpatrując tę całą sprawę na płaszczyźnie abstrakcyjnej, zupełnie zapomniałem, jak bardzo osobiste i przykre może to być dla ciebie.

Zapewniam cię jednak, że nie wiedziałem nawet o istnieniu twego brata, dopóki nie zobaczyłem tego zegarka.

— Jakim więc niesamowitym sposobem odgadłeś te fakty? Bo wszystko zgadza się co do joty.

— No, po prostu odrobina szczęścia. Wyraziłem jedynie moje przypuszczenia, nie oczekując wcale, że będą słuszne.

— Przecież nie były to tylko czcze domysły?

— Ach, nie, nie. Nigdy nie zgaduję. To obrzydliwe przyzwyczajenie, destrukcyjne dla zdolności logicznego myślenia. Jeżeli ci się to wydaje dziwne, to jedynie dlatego, że nie podążasz śladem moich myśli i nie obserwujesz drobnych faktów, od których bardzo wiele może zależeć. I tak, na przykład, zacząłem od stwierdzenia, że twój brat był człowiekiem niedbałym. Przyjrzyj się uważnie dolnej części koperty, a zauważysz, że nie tylko jest wgnieciona w dwu miejscach,

ale także pocięta i porysowana przez monety czy klucze, które brat twój miał zwyczaj nosić w tej samej kieszeni. Stąd już niewielki krok do wniosku, że jeśli człowiek tak obchodzi się z zegarkiem wartym około pięćdziesięciu gwinei — musi być niedbały. Łatwo też wywnioskować, że ktoś, kto odziedziczył tak wartościowy przedmiot, musiał być w ogóle dobrze sytuowany.

Skinąłem głową na znak, że podążam za jego rozumowaniem.

— Cóż dalej? W lombardach angielskich, przyjmując w zastaw zegarek, mają zwyczaj wydrapywać szpilką numer kwitu wewnątrz zegarka. To wygodniejsze od kartek przywieszanych na zewnątrz, ponieważ taki numer ani się nie zagubi, ani nie zapłącze do innego przedmiotu. Za pomocą szkła powiększającego wykryłem w zegarku aż cztery podobne numerki. Stąd wniosek, że brat twój często znajdował się pod wozem. Wtórny wniosek: musiał mieć czasem i okresy powodzenia, inaczej bowiem nie byłby w stanie wykupić zastawu. Wreszcie zechciej spojrzeć na wewnętrzną kopertę, w której jest otwór na kluczyk. Zauważ niezliczone zadrapania dokoła. Są to znaki, że kluczyk nie trafił do dziurki. Jaki trzeźwy człowiek zrobiłby coś podobnego? Natomiast zegarki pijaków zawsze mają te ślady. Pijak nakręca zegarek w nocy i pozostawia takie ślady niepewnej ręki. I jakaż tu tajemnica?

— To jasne jak słońce — odpowiedziałem. — Przepraszam cię za niesprawiedliwe oskarżenie. Powinienem być bardziej ufać twoim cudownym zdolnościom. Powiedz, czy masz teraz na warsztacie jakąś ciekawą sprawę?

— Żadnej, stąd kokaina. Nie mogę po prostu żyć bez łamigłówek umysłowych. Bo po cóż innego warto żyć? Stań przy oknie i powiedz, czy widziałeś kiedy podobnie pośępny, pochmurny, beznadziejny świat. Popatrz na tę żółtą mgłę rozsnuwającą się wzdłuż ulic i wpełzającą między szare domy. Cóż znajdziesz bardziej beznadziejnego, prozaicznego i materialnego? I cóż stąd, że człowiek posiada jakąś siłę, doktorze, jeżeli nie ma jej gdzie wyładować. Zbrodnia jest banałem, całe nasze życie jest banałem i nic innego nie rządzi światem jak banał.

Nim otworzyłem usta, by mu odpowiedzieć, rozległo się energiczne pukanie i weszła nasza gospodyni niosąc na tacy bilet wizytowy.

— Jakaś młoda dama do pana — rzekła do mego towarzysza.

— Mary Morstan — przeczytał. — Hm... nie przypominam sobie takiego nazwiska. Niech pani poprosi tę młodą damę tutaj, pani Hudson. Nie odchodź, doktorze. Wolę, żebyś został.

## II. STAN SPRAWY

Panna Morstan weszła zdecydowanym krokiem, nie zdradzając na pozór żadnego niepokoju czy zdenerwowania. Była to drobna, młoda blondynka, kulturalna i bardzo dobrze ubrana. Jednakże pewna prostota i skromność jej stroju świadczyła, że nie rozporządza nieograniczonymi środkami. Suknię miała ciemną, szarobrązową, niczym nie ozdobioną, główkę zaś przykrywał mały turbanik w tym samym kolorze, ożywiony tylko z boku dyskretnym białym piórkiem. Twarz nie odznaczała się ani specjalną regularnością rysów, ani delikatną karnacją, wyraz jej jednak był pełen słodyczy i wdzięku, a ogromne niebieskie oczy dziwnie uduchowione. Miałem wiele okazji poznać kobiety różnych narodowości i trzech różnych kontynentów, lecz muszę przyznać, iż nigdy nie zdarzyło mi się spotkać kogoś równie delikatnego i wrażliwego. Zauważyłem także, kiedy siadała na krzesło podsuniętym przez Sherlocka Holmesa, że wargi i ręce jej drżą, a cała postać zdradza wielkie wewnętrzne wzburzenie.

— Zwracam się do pana, panie Holmes — zaczęła — ponieważ niegdyś dopomógł pan mojej chlebodawczyni, pani Forrester, rozwiązać jej trudne domowe problemy. Pańska dobroć i inteligencja zrobiły na niej wówczas wielkie wrażenie.

— Zaraz... pani Forrester — powtórzył w zamyśleniu. — Tak, zdaje się, że oddałem jej pewną drobną przysługę. Ale o ile sobie przypominam, cała sprawa była bardzo mało skomplikowana.

— Pani Forrester jest jednak odmiennego zdania. W każdym razie nie da się tak określić sprawy, z którą teraz zwracam się do pana. Trudno wprost wyobrazić sobie coś dziwniejszego, trudniejszego do wytłumaczenia niż sytuacja, w jakiej się znalazłam.

Holmes zatarł ręce, oczy mu nagle rozbłyły. Pochylił się na krzesło, a na jego wyrazistej, orlej twarzy pojawił się wyraz niezwykłego skupienia.

— Proszę opowiedzieć, o co chodzi — rzekł krótko, urzędowym tonem.

Poczułem się trochę nieswojo.

— Państwo wybaczą — rzekłem podnosząc się z krzesła.

Ku memu zdziwieniu młoda dama zatrzymała mnie gestem odzianej w rękawiczkę dłoni.

— Może pański przyjaciel byłby tak uprzejmy pozostać... — rzekła. — Oddałby mi tym wielką przysługę.

Opadłem na krzesło.

— Pokrótcie — ciągnęła dalej — sprawa wygląda następująco: Ojciec mój był oficerem w jednym z pułków indyjskich i odesłał mnie do kraju, gdy byłam jeszcze małym dzieckiem. Moja matka zmarła i nie miałam w Anglii żadnych krewnych. Umieszczono mnie na bardzo drogiej pensji w Edynburgu, gdzie przebywałam do siedemnastego roku życia. W roku 1878 ojciec, wówczas starszy kapitan, otrzymał roczny urlop i przyjechał do Anglii. Z Londynu zatelegrafował zaraz, by zawiadomić mnie o swym szczęśliwym przyjeździe, i polecił mi pośpieszyć tam natychmiast do Hotelu Langham, gdzie się zatrzymał. Przypominam sobie, że ze słów depeszy przebijała dobroć i miłość. Przyjechałam do Londynu i udałam się do wskazanego hotelu. Poinformowano mnie, że kapitan Morstan istotnie tu mieszka, wyszedł jednak poprzedniego wieczora i dotychczas nie powrócił. Czekałam cały dzień, ale nie otrzymałam żadnej wiadomości od ojca. Tegoż wieczoru za radą dyrektora hotelu zawiadomiłam policję, a następnego dnia rano daliśmy ogłoszenia do wszystkich gazet. Poszukiwania nasze pozostały bez rezultatu i od owego dnia do dzisiaj wszelki słuch zaginął po moim nieszczęśliwym ojcu.



Przyjechał do kraju z sercem przepełnionym nadzieją, że zażyje trochę spokoju, wygody — a tymczasem...

Przy tych słowach podniosła rękę do piersi, gdyż krótki szloch nie pozwolił jej mówić dalej.

— Kiedy się to stało? — zapytał Holmes otwierając notes.

— Zaginał trzeciego grudnia 1878 roku, a więc prawie dziesięć lat temu.

— A jego bagaże?

— Zostały w hotelu. Nie znaleziono w nich absolutnie nic, co by mogło posłużyć za wskazówkę, ot, trochę ubrań, książek i najróżniejsze ciekawostki z Wysp Andamańskich. Ojciec był bowiem jednym z oficerów straży więziennej na tych wyspach.

— Czy miał jakichś przyjaciół w Londynie?

— Wiedzieliśmy tylko o jednym, majorze Sholto z tego samego pułku, to znaczy trzydziestego czwartego pułku piechoty bombajskiej. Major na krótko przedtem został emerytowany i mieszkał w Upper Norwood. Oczywiście natychmiast się z nim porozumieliśmy, ale nie wiedział nawet, że jego towarzysz broni przybył do Anglii.

— Szczególna sprawa — zauważył Holmes.

— Nie powiedziałam panu jeszcze najdziwniejszego. Jakieś sześć lat temu, dokładnie mówiąc czwartego maja 1882 roku, *Times* zamieścił ogłoszenie, że ktoś poszukuje adresu panny Mary Morstan i podkreśla jednocześnie, iż ujawnienie się leży w jej własnym interesie. W ogłoszeniu nie podano ani nazwiska, ani żadnego adresu. W owym czasie zaczęłam pracować jako guwernantka w domu pani Forrester i za jej radą podałam w kolumnie drobnych ogłoszeń mój adres. Tego samego dnia nadeszło pocztą niewielkie tekturowe pudełko, zaadresowane do mnie, zawierające ogromną, wspaniałą perłę. I ani słowa wyjaśnienia. Od tej pory, rok w rok, mniej więcej o tej samej porze, nadchodziło pod moim adresem takie samo tekturowe pudełko z podobną perłą — ale nigdy najmniejszej wzmianki o nadawcy. Rzeczoznawca uznał perły za wyjątkowo piękne i cenne. Zresztą sami panowie mogą się o tym przekonać. Otworzyła płaskie pudełko i pokazała nam sześć najpiękniejszych pereł, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć.

— To bardzo ciekawe — zauważył Sherlock Holmes. — A czy spotkało panią jeszcze coś szczególnego?

— Owszem, i to nie dalej jak dzisiaj. Dlatego właśnie przybiegłam do pana. Otrzymałam rano ten list. Może zechce pan go przeczytać.

— Dziękuję — rzekł Holmes. — Poproszę także o kopertę. Znaczek ostemplowany: Londyn S. W. Siódmy lipiec. Hm... W rogu odcisk męskiego palca, prawdopodobnie listonosza. Papier wysokogatunkowy. Koperta zaś po sześć pensów paczka. Człowiek dziwnie dobierający papeterię. Żadnego adresu. „*Proszę być dzisiaj o siódmej wieczorem pod trzecią kolumną licząc od lewej strony, przed Lyceum Theatre. Jeżeli pani brak zaufania, proszę przyprowadzić dwóch przyjaciół. Jest pani osobą pokrzywdzoną i sprawiedliwości powinno stać się zadość. Proszę nie sprowadzać policji, bo jeśli pani to uczyni, wszystko przepadnie. Nieznany przyjaciel*”. No, no, doprawdy bardzo ładna maleńka zagadka. I co pani zamierza uczynić?

— Właśnie chciałam pana o to zapytać.

— Wobec tego, oczywiście, tam pójdziemy, pani i ja... no i doktor Watson, jako najodpowiedniejszy do tego celu. Korespondent pani wspomina o dwóch przyjaciółach. Doktor Watson i ja pracowaliśmy już wspólnie.

— Ale czy zechce pójść? — spytała z odcieniem prośby w głosie i wyrazie twarzy.

— Będę dumny i szczęśliwy — rzekłem gorąco — jeżeli okażę się pani w czymkolwiek pomocny.

— Panowie jesteście bardzo dobrzy — odparła. — Prowadziłam samotny tryb życia i nie mam właściwie żadnych przyjaciół, do których mogłabym się zwrócić. Przypuszczam, że wystarczy, jeżeli zjawię się tutaj o szóstej, prawda?

— Ale już nie później — rzekł Holmes. — Aha, jeszcze jedno! Czy charakter pisma na przesyłkach pereł jest identyczny z dzisiejszym listem?

— Mam je przy sobie — odpowiedziała wyjmując z torebki kilka kawałków papieru.

— Muszę przyznać, iż jest pani wzorem klientki. Posiada pani właściwą intuicję. No, ale popatrzmy. — Z tymi słowy rozłożył papierki na stole i zaczął je porównywać.

— Charakter pisma jest zmieniony, z wyjątkiem listu — rzekł po chwili — nie może jednak być żadnych wątpliwości co do autorstwa. Proszę się przyjrzeć temu nieopanowanemu greckiemu „e”, jak ono wyskakuje! Albo ten zakręt przy końcowym „s”. Niewątpliwie pisane są jedną i tą samą ręką. Nie chcę budzić w pani płonnych nadziei, ale chciałbym wiedzieć, czy istnieje jakieś podobieństwo między tym charakterem pisma a pismem pani ojca?

— Ani cienia podobieństwa...

— Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Będziemy zatem oczekiwać pani o szóstej. Proszę pozwolić, bym na razie zatrzymał te papiery. Będę mógł się tymczasem zapoznać trochę ze sprawą. Jest dopiero pół do czwartej. Więc na razie do widzenia.

— Do widzenia!

Obdarzywszy nas obu jasnym, przyjacielskim spojrzeniem, panna Morstan ukryła z powrotem pudełeczko z perłami w zanadrzu i szybko wyszła z pokoju. Stojąc przy oknie odprowadzałem ją wzrokiem, gdy szła szparko ulicą, dopóki jej turbanik z białym piórkiem nie stał się maleńką plamką wśród ciemnego tłumu.

— Cóż za czarująca osoba! — wykrzyknąłem odwracając się do mego towarzysza.

Holmes tymczasem znowu zapalił fajkę i przymknąwszy powieki odchylił się na oparcie fotela.

— Tak sądzisz? — spytał leniwie. — Przyznam, że nie zauważyłem.

— E, bo ty doprawdy jesteś jak automat, maszyna do liczenia — wybuchnąłem. — Czasem wydaje mi się, że jest w tobie coś zdecydowanie nieludzkiego.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Najważniejsze jest — powiedział — nie pozwolić, aby czyjekolwiek zalety osobiste wpływały na mój sąd. Każdy klient jest dla mnie po prostu jednostką, składową częścią problemu. Czynniki emocjonalne źle wpływają na jasny tok rozumowania. Wierzę mi, najbardziej czarująca kobieta, jaką spotkałem w życiu, została potem powieszona, bo otruła troje małych dzieci, aby uzyskać po nich premię asekuracyjną, zaś najbardziej odrażający z moich znajomych jest zacnym filantropem, który wydał niemal ćwierć miliona funtów na biedaków londyńskich.

— W tym przypadku jednakże...

— Żadnych wyjątków! Wyjątki zaprzeczają regule. Czy miałeś kiedy okazję studiować charakter człowieka na podstawie jego pisma? Co byś powiedział, na przykład, o piśmie tego jegomościa?

— Że jest czytelne i regularne — odrzekłem. — To człowiek interesu o dość zdecydowanym charakterze.

Holmes potrząsnął głową.

— Przyjrzyj się jego wysokim literom — powiedział. — Niewiele tylko górują nad innymi. To „d” mogłoby doskonale ująć za „a”, a „l”, za „e”. Ludzie z charakterem zawsze silnie wyróżniają wysokie litery, chociażby pisali nie wiem jak nieczytelnie. Jest jakieś wahanie w jego „k”, a zarozumiałość w dużych literach. No, ale teraz wychodzę. Muszę zebrać jeszcze trochę

danych. Polecam ci tę książkę, jedną z najbardziej interesujących, jakie znam, „Męczeństwo człowieka” Winwooda Reade. Wrócę za godzinę.

Zasiadłem przy oknie z książką w ręku, myślami jednak błądziłem daleko od śmiałych wywodów autora. Miałem ustawicznie przed oczyma naszego gościa — jej uśmiech, głębokie, bogate brzmienie głosu, dziwną tajemnicę, jaka oplatała jej życie. Jeżeli w chwili zaginięcia ojca miała lat siedemnaście, teraz musi mieć dwadzieścia siedem. Uroczy wiek, gdy młodość traci już swoją pewność siebie i spokojnieje trochę pod wpływem doświadczenia. W trakcie tych rozważań opadły mnie wreszcie tak niebezpieczne myśli, że zerwałem się i usiadłszy przy biurku zagłębiłem z furją w ostatni traktat o patologii. Cóż sobą przedstawiałem? Chirurg wojskowy ze słabą nogą i jeszcze słabszym rachunkiem bankowym. Jak mogłem odważyć się na podobne myśli? Ona była jednostką, składową częścią problemu — niczym więcej. Jeżeli moja przyszłość rysuje się czarno, to z pewnością lepiej jest patrzeć w nią śmiało, po męsku, aniżeli starać się ją rozjaśniać błędnymi ognikami wyobraźni.

### III.

## W POSZUKIWANIU KLUCZA ZAGADKI

Holmes wrócił dopiero o wpół do szóstej. Był rozpromieniony, skory do czynu i w doskonałym usposobieniu. Nastrój podobny przychodził u niego bardzo często po najczarniejszych okresach depresji.

— Cała ta sprawa nie bardzo jest tajemnicza — oświadczył biorąc z mych rąk filiżankę herbaty. — Wszystkie fakty wskazują na jedno jedyne rozwiązanie.

— Co takiego? Czyżbyś już je znalazł?

— No, to może za wiele powiedziane... Po prostu odkryłem pewien ważny fakt. Fakt bardzo ważny. Należy jednak dodać jeszcze pewne szczegóły. Stwierdziłem mianowicie, przerzucając stare roczniki *Timesa*, że emerytowany major Sholto z Upper Norwood, stacjonowany ostatnio w 34 pułku piechoty bombajskiej, zmarł 28 kwietnia 1882 roku.

— Przepraszam bardzo, może ci się wydają tępy, ale doprawdy nie widzę, jaki związek...

— Nie widzisz? To zadziwiające. Popatrz na tę sprawę tak: kapitan Morstan znika. Jediną osobą, u której mógł być z wizytą, jest major Sholto. Ów zaprzecza, jakoby wiedział o obecności Morstana w Londynie. Po czterech latach Sholto umiera. W tydzień po jego śmierci córka kapitana otrzymuje wartościową przesyłkę. Przesyłki takie dostaje rok po roku, wreszcie nadchodzi punkt kulminacyjny w postaci listu określającego ją jako istotę pokrzywdzoną. Jaka inna krzywda mogła jej się stać poza tym, iż została pozbawiona ojca? I dlaczego podarunki zaczynają nadchodzić natychmiast po śmierci majora? Nie ma innego wytłumaczenia jak to, że jego spadkobierca wie coś o tej sprawie i pragnie wynagrodzić krzywdę. Czy masz jakąś inną teorię, która uwzględniałaby te wszystkie okoliczności?

— Ale cóż za dziwne wynagradzanie krzywd! I jak niezwykle realizowane! A poza tym dlaczego pisałby list teraz, nie sześć lat temu? List zawiera też wzmiankę o wymierzeniu sprawiedliwości. Jakaż sprawiedliwość może jej zostać wymierzona? Trudno przypuszczać, że jej ojciec jeszcze żyje. Poza tym zaś nie widzę, jaka mogła ją spotkać niesprawiedliwość.

— Są trudności, oczywiście, że są duże trudności — rzekł Sherlock zamyślony — ale nasza dzisiejsza wycieczka je usunie. Oho, widzę, że zajęła dorożka panny Morstan. Jesteś gotów? Jeżeli tak, to lepiej chodźmy od razu, bo już dość późno.

Wziąłem kapelusze i najgrubszą z moich lasek, zauważyłem jednak, że Holmes wyjął z szuflady biurka rewolwer i wsunął go do kieszeni. Spodziewał się widać czegoś poważnego. Panna Morstan siedziała otulona w ciemny płaszcz, a jej wrażliwa twarz, chociaż blada, wyrażała opanowanie. Musiała jako kobieta odczuwać niepokój przed ową nocną wyprawą, lecz zdawała się być zupełnie spokojna i chętnie udzieliła Holmesowi wszelkich dodatkowych wyjaśnień.

— Major Sholto był najbliższym przyjacielem mego ojca — rzekła. — Ojciec bardzo często wspominał o nim w listach. Dowodzili oddziałami na Wyspach Andamańskich, tak że siłą rzeczy wiele ze sobą przebywali. Ale zapomniałabym... W biurku mego ojca znaleziono jakiś bardzo dziwny dokument, którego nikt nie mógł zrozumieć. Nie przypuszczam, żeby miał jakiegokolwiek znaczenie, ale pomyślałam, że może zechce go pan zobaczyć, więc na wszelki wypadek mam go ze sobą. Oto on. Holmes rozłożył papier i wyprostował starannie na kolanie. Potem bardzo szczegółowo obejrzał przez podwójne szkło powiększające.

— Ten papier został wyprodukowany w Indiach — zauważył. — Przez pewien czas był przybity do drewnianej tablicy. Rysunek wygląda na plan części jakiegoś dużego budynku o licznych salach, korytarzach i przejściach. W jednym miejscu widnieje mały krzyżyk zrobiony

czerwonym atramentem, a nad nim „3.37 od lewej” nakreślone wyblakłym ołówkiem. W lewym rogu widzę ciekawy hieroglif, przypominający cztery krzyżyki w jednym rzędzie, które stykają się ramionami. Obok bardzo nieczytelnym i niewyrobionym charakterem napisane słowa „Znak Czterech — Jonathan Small, Mahomet Singh, Abdullah Khan i Dost Akbar”. Nie, przynajmniej, że nie mam pojęcia, co to może mieć za związek z naszą sprawą. A jednak dokument ten niewątpliwie posiada duże znaczenie. Przechowywano go starannie w portfelu, bo i jedna, i druga strona są jednakowo czyste.

— Znalaziono go właśnie w portfelu ojca.

— Niech więc go pani nadal starannie przechowuje, bo może się okazać pomocny. Zaczynam podejrzewać, że sprawa okaże się poważniejsza i delikatniejsza, niż mi się z początku wydawało. Muszę zrewidować moje dotychczasowe wnioski.

Oparł się wygodnie i z jego ściągniętych brwi i zapatrzonych w przestrzeń oczu widać było, że nad czymś głęboko myśli. Rozmawialiśmy z panną Morstan półgłosem o dzisiejszej ekspedycji i jej ewentualnym wyniku, nasz towarzysz jednak zachował nieprzeniknioną rezerwę aż do końca jazdy.

Zapadał wczesny wrześnieowy wieczór, ale dzień był już od rana posępny i nad wielkim miastem wisiała gęsta, wilgotna mgła. Brudnoszare chmury wisiały nad brudnymi ulicami. Na Strandzie latarnie, słabo rozświetlające śliskie chodniki, wyglądały jak okrągłe plamy rozproszonego światła. Żółty blask z okien sklepów wlewał się smugami w wilgotne powietrze, ukazując w nikłym migotliwym świetle tłum uliczny. Było, moim zdaniem, coś niesamowitego i zjawiskowego w tej nie kończącej się procesji twarzy, co sunęły w wąskich słupach światła — smutne i wesołe, wynędzniałe i pogodne. Na podobieństwo całego rodu ludzkiego uciekały z ciemności w światło i znowu nikły w mroku. Nie ulegam łatwo nastrojom, ale ten smutny, posępny jakiś wieczór, z perspektywą niecodziennego wydarzenia, ku któremu zmierzaliśmy, rozstroił mi nerwy i przygnębił. Sądząc z zachowania panny Morstan i w jej duszy rodziły się podobne uczucia. Jeden tylko Holmes mógł się wznieść ponad takie małości. Trzymał na kolanach otwarty notatnik i od czasu do czasu coś w nim kreślił w świetle latarki kieszonkowej.

Ludzie gromadzili się już tłumnie przy bocznych wejściach Lyceum Theatre. Przed wejściem frontowym przesuwiał się nieprzerwany strumień pojazdów i dorożek, wyrzucając co chwila wyfraczonych panów i ubrylantowane damy. Ledwie zdołaliśmy podejść do trzeciej kolumny, która była wyznaczonym miejscem spotkania, kiedy zbliżył się do nas drobny, ciemnowłosy, żwawy człowieczek w stroju woźnicy.

— Czy panowie towarzyszą panie Morstan? — spytał.

— Ja jestem panną Morstan, a ci dwaj panowie to moi przyjaciele — powiedziała.

Wbił w nas przenikliwe, pytające spojrzenie.

— Bardzo panią przepraszam — rzekł z uporem — polecono mi jednak wziąć od pani słowo, że żaden z pani towarzyszy nie jest w policji.

— Daję panu słowo — odpowiedziała. Gwizdnął przenikliwie, a po chwili jakiś ulicznik podjechał kareta i otworzył nam drzwiczki. Człowiek, który z nami rozmawiał, wsiadł na kozioł, my zaś umieszciliśmy się wewnątrz. Ledwie zasiedliśmy, woźnica zaciął konia i ruszyliśmy w szalonym tempie przez zasnute mgłą ulice. Sytuacja wyglądała bardzo dziwnie. Jechaliśmy w nieznanym celu. Albo chciano nas wywieść w pole — hipoteza nie do przyjęcia — albo też mieliśmy podstawę przypuszczać, że z podróżą naszą wiąże się jakieś doniosłe wydarzenie. W zachowaniu panny Morstan nie zaszły żadne zmiany — była nadal rezolutna i opanowana. Usiłowałem rozweselić ją opowiadaniem mych przygód w Afganistanie, jednak prawdę powiedziawszy sam byłem tak podniecony i zaciekawiony wynikiem podróży, że mówiłem trochę bez związku. Do dnia dzisiejszego panna Morstan twierdzi, że opowiedziałem

jej wzruszającą historię o tym, jak wśród ciemnej nocy zajrzał do mego namiotu muszkiet i jak do niego wystrzeliłem z młodego, dwulufowego tygryśka. Początkowo wiedziałem, w jakim kierunku zdążamy, wkrótce jednak — biorąc pod uwagę tempo jazdy, mgłę i moją słabą znajomość Londynu — straciłem poczucie, gdzie jesteśmy, i wiedziałem tylko tyle, że gdzieś bardzo daleko. Sherlock Holmes za to ani na chwilę nie stracił orientacji i wymieniał cicho nazwy placów, ulic i krętych zaułków.

— Rochester Row — powiedział — a teraz Vincent Square. Teraz wjechaliśmy w Vauxhall Bridge Road. Zdaje się, że zmierzamy ku Surrey. Tak, nie mylę się. Już jesteśmy na moście. Tam w dole widać rzekę.

Rzeczywiście dojrzeliliśmy Tamizę, a w jej szerokich, cichych wodach odbicia nadbrzeżnych latarni.

Powóz jednak mknął dalej i niebawem znalazł się w labiryncie ulic po drugiej stronie rzeki.

— Wandsworth Road — mówił mój towarzysz — Priory Road, Larkhall Lane, Stockwell Place, Robert Street, Coldharbour Lane. Zdaje się, że ta przygoda nie wiedzie nas w specjalnie wytworne dzielnice.

Istotnie znaleźliśmy się w okolicy nieprzyjemnej i mało zachęcającej. Długie szeregi ponurych domów z cegły rozjaśnione były jedynie mdłym światłem narożnych gospód. Potem zaczęły się rzędy piętrowych will z małymi ogródkami, a dalej znowu nieskończenie długi rząd nowych ceglanych budynków — potworne macki, wysunięte przez miasto — olbrzymia na prowincję. Wreszcie powóz zajechał pod trzeci z wielkich nowych bloków. Żaden z sąsiednich domów nie wyglądał na zamieszkały, a i ten był równie ciemny jak one, z wyjątkiem nikłego światła sączącego się z okna kuchennego. Kiedyśmy zastukali jednak, natychmiast otworzył nam drzwi hinduski służący w żółtym turbanie i luźnej białej szacie, przepasanej żółtą szarfą. Ta orientalna postać dziwnie jakoś nie pasowała do zwykłej klatki schodowej podrzędnego podmiejskiego domu.

— Sahib oczekuje państwa — rzekł. Nim dokończył zdania, z wewnątrz domu rozległ się wysoki, piskliwy głos:

— Wprowadź ich do mnie, khitmutgar — wołał — wprost tu do mnie.

## IV. OPOWIADANIE ŁYSEGO CZŁOWIEKA

Hindus prowadził nas nędznym, zwykłym korytarzem źle oświetlonym i jeszcze gorzej umeblowanym, aż doszliśmy do drzwi po prawej stronie, które przed nami otworzył. Strumień żółtawego światła padł na nas i w środku pokoju ujrzelśmy małego człowieczka o bardzo długiej głowie, otoczonej wianuszkami rudych włosów tak, że naga błyszcząca czaszka wyrastała z nich jak szczyt góry spośród sosen. Stał zacierając ręce, a rysy jego twarzy były w ustawicznym ruchu — to się śmiał, to nachmurzał. Natura obdarzyła go obwisłą wargą i zbyt widocznym rzędem żółtych, nieregularnych zębów, które starał się bez powodzenia ukryć przesuwając ciągle dłoń przed dolną częścią twarzy. Mimo prawie kompletnej łysiny robił wrażenie człowieka młodego. I rzeczywiście, rozpoczął dopiero trzydziesty rok życia.

— Sługa pani, panno Morstan — powtarzał ciekawym, wysokim głosem. — Sługa panów... Proszę wejść do mojego małego przybytku. Niewielki to pokój, ale umeblowany według mego gustu. Oaza sztuki na pustyni południowego Londynu.

Zdumiliśmy się wszyscy na widok apartamentu, do którego nas zapraszał. Na tle tego smutnego domu wyglądał on równie niezwykle, jak brylant najczystszej wody oprawiony w mosiądz. Najwspanialsze, najbogatsze zasłony i makaty rozwieszono na ścianach odsłaniały tu i ówdzie pięknie oprawny obraz lub wschodni wazon. Dywan w kolorze bursztynowo-czarnym był tak miękki i puszysty, że nogi zagłębiały się w nim jak w grubym mchu. Dwie tygrysy skóry rzucone na dywan podkreślały jeszcze wrażenie wschodniego przepychu, podobnie jak olbrzymie nargile stojące na macie w rogu pokoju. Srebrna lampa w kształcie gołębic na prawie niewidocznym złotym drucie zwisała z sufitu. Pałac się, napelniała powietrze subtelnym aromatem.

— Nazywam się Thaddeus Sholto — rzekł mały człowieczek, ciągle w podrygach i uśmiechach. — A pani, naturalnie, jest panną Morstan? Ci panowie zaś...

— To jest pan Sherlock Holmes, a to doktor Watson.

— Doktor, o! — wykrzyknął podniecony. — Ma pan może ze sobą stetoskop? Czy mógłbym pana poprosić... byłby pan może tak uprzejmy? Mam poważne obawy co do moich zastawek sercowych. O aortę jestem spokojny, ale pragnąłbym posłyszeć pańską opinię o moich zastawkach.

Wysłuchałem jego serca, jak o to prosił, nie mogłem jednak stwierdzić nic podejrzanego, prócz tego, że musiał być w panicznym strachu, drżał bowiem od stóp do głów.

— Wszystko jest zupełnie normalne — orzekłem — nie ma żadnych powodów do obaw.

— Proszę darować mój niepokój — zwrócił się do panny Morstan — ale bardzo cierpię i już od dawna miałem podejrzenie co do tych zastawek. To wspaniale, że moje obawy okazały się płonne. Gdyby ojciec pani nie nadwerężał tak serca, żyłby do dzisiaj.

Z trudem opanowałem się, aby nie spoliczkować tego człowieka, tak byłem oburzony jego nietaktownym, gruboskórnym wręcz odezwaniem się w sprawie tak niesłychanie delikatnej. Panna Morstan usiadła z twarzą pobladłą jak papier.

— Byłam przekonana, że mój ojciec nie żyje — rzekła.

— Mogę pani udzielić wszelkich informacji — powiedział — a co więcej, mogę dać pani zadośćuczynienie i zrobię to, chociażby mój brat Bartholomeus miał znowu jakieś sprzeciwy. Bardzo się cieszę, że przyprowadziła pani przyjaciół jako eskortę, ale także jako świadków tego, co mam zamiar zrobić i powiedzieć. We trzech potrafimy stawić czoło memu bratu

Bartholomeusowi. Ale nie dopuszczajmy żadnych postronnych ludzi, żadnej policji czy urzędników. Wszystko możemy załatwić doskonale między sobą, bez zewnętrznych ingerencji. Mój brat Bartholomeus niczego bardziej nie nienawidzi niż rozgłosu. Dobrze? Z tymi słowy usiadł na niskiej kanapce i spojrzął na nas pytająco słabymi, wodnistoniebieskimi oczami.

— Jeżeli idzie o mnie — rzekł Holmes — cokolwiek by pan powiedział, zostanie tajemnicą.

Skinąłem głową na znak, że podzielam jego zdanie.

— No to doskonale! Doskonale! — powiedział. — Czy mogę poczęstować panią szklaneczką chianti, panno Morstan? Albo tokaju? Nie uznaję innych win. Mogę otworzyć butelkę? Nie? No, ale przypuszczam, że nie będą państwo mieli nic przeciwko balsamicznemu zapachowi wschodniego tytoniu? Jestem trochę podenerwowany i uważam, że moja *hookah* to nieporównany środek uspokajający.

Po tych słowach przyłożył świeczkę do wielkiej lulki i przez różaną wodę zaczął wesoło bulgotać dym. Wszyscy troje siedzieliśmy wokoło, z głowami wysuniętymi naprzód, a podbródkami opartymi na dłoniach, podczas gdy w środku dziwny, podrygujący mały człowieczek o długiej, błyszczącej czaszce — niespokojnie pykał dym.

— Kiedy po raz pierwszy postanowiłem udzielić pani tych informacji — rzekł — mogłem podać swój adres, bałem się jednak, że nie zastosuje się pani do mej prośby i przyprowadzi ze sobą kogoś niepożądanego. Dlatego pozwoliłem sobie tak zaaranżować spotkanie, żeby mój służący, Williams, przedtem panią zobaczył. Polegam całkowicie na jego zdaniu. Miał rozkaz przerwać od razu całą sprawę, o ile by odniósł niekorzystne wrażenie. Proszę mi wybaczyć tę ostrożność, jestem jednak człowiekiem o spokojnych, powiedzmy nawet, wyrafinowanych upodobaniach i uważam, że nie ma nic bardziej nieestetycznego niż policjant. Mam jakąś wrodzoną odrazę do wszelkich form grubego materializmu. Bardzo rzadko stykam się z pospolitym tłumem. Jak państwo widzą, żyję tu w atmosferze pełnej elegancji. Mógłbym się nazwać nawet mecenasem sztuki. To moja słabość. Ten krajobraz, na przykład, to autentyczny Corot, a chociaż jakiś rzeczoznawca mógłby zakwestionować mego Salvatora Rosa, to jednak nie może być żadnych wątpliwości, jeżeli chodzi o tego Bouguereau. Mam słabość do nowoczesnej szkoły francuskiej.

— Bardzo pana przepraszam — wtrąciła panna Morstan — ale przybyłam tutaj na pańską prośbę i miałam się czegoś dowiedzieć. Jest już bardzo późno i pragnęłabym, aby to spotkanie możliwie jak najprędzej się skończyło.

— W najlepszym nawet wypadku musi nam to zabrać trochę czasu — odpowiedział — bo bezwzględnie będziemy musieli pojechać do Norwood do mego brata Bartholomeusa. Wszyscy musimy tam pojechać i starać się zwyciężyć w rozgrywce z bratem Bartholomeusem. Bardzo jest zły na mnie, że poszedłem drogą, która moim zdaniem jest najwłaściwsza. Ostatniego wieczora dosłownie się pokłóciliśmy! Trudno sobie państwu wyobrazić, jaki to okropny człowiek, kiedy wpadnie w gniew.

— Jeżeli mamy jechać do Norwood, to byłoby dobrze gotować się już do drogi — zauważyłem niepewnie.

Zaczął się śmiać tak, że aż uszy mu poczerwieniały.

— Nie na wiele by się to zdało — wykrzyknął wreszcie. — Nie mam pojęcia, co by powiedział, gdybym mu tak państwa nagle sprowadził. Nie, nie, muszę was, moi państwo, przedtem przygotować, uświadomić, jak wygląda tło całej sprawy. Przede wszystkim musicie wiedzieć, że w całej tej historii są pewne punkty dla mnie samego niejasne. Mogę tylko zilustrować wam fakty, tak jak sam je widzę.

Jak się państwo zapewne domyślają, major John Sholto, eks-oficer Armii Indyjskiej, był moim ojcem. Przed mniej więcej jedenastu laty podał się do dymisji i zamieszkał w Pondicherry



Lodge w Upper Norwood. W Indiach mu powodziło się bardzo dobrze, tak iż przywiózł ze sobą znaczną kwotę w gotówce, dużą kolekcję zbiorów hinduskich i kilkoro służby. Następnie kupił dom i żył w luksusie. Poza mną i moim bratem — bliźniakiem, Bartholomeusem, nie miał więcej dzieci. Doskonale pamiętam, jakie wrażenie wywołała w domu wieść o zniknięciu kapitana Morstana. Czytaliśmy o tym w pismach, a wiedząc, że był przyjacielem ojca, otwarcie dyskutowaliśmy nad tym w jego obecności. Często snuł z nami domysły, co się mogło stać z kapitanem. Nigdy, na chwilę nawet, nie przyszło nam na myśl, że nosi taką tajemnicę we własnej piersi i że on jeden na świecie wie, jaki los spotkał Artura Morstana. Wiedzieliśmy jednak, że jakaś tajemnica otacza naszego ojca, że grozi mu jakieś konkretne niebezpieczeństwo. Bał się wychodzić sam i jako dozorców w Pondicherry Lodge zatrudnił stale dwu byłych bokserów. Williams, który państwa tutaj przywiózł, jest właśnie jednym z nich. To dawny mistrz Anglii w wadze lekkiej. Ojciec nigdy nie zdradził się nam ze swych obaw, ale pamiętam, że miał bardzo wyraźną odrazę do ludzi z drewnianą protezą zamiast nogi. Pewnego razu postrzelił nawet człowieka o drewnianej nodze, który się potem okazał całkiem niewinnym domokrażcą poszukującym zarobku. Trzeba było wówczas zapłacić poważne odszkodowanie, żeby zatuszować sprawę. Obaj z bratem uważaliśmy to początkowo tylko za jakieś dziwactwo ojca, wypadki późniejsze jednak przekonały nas, że rzecz miała się inaczej.

W początkach roku 1882 ojciec otrzymał list z Indii, który go ogromnie wzburzył. Czytając go przy śniadaniuomal nie zemdlął i od tej pory chorował już do końca życia. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co ten list zawierał, zdołałem tylko zauważyć, gdy ojciec trzymał go w ręku, że był krótki i zabazgrany. Ojciec cierpiał od wielu lat na powiększenie śledziony, teraz jednak stan jego raptownie się pogorszył i pod koniec kwietnia lekarze orzekli, że nie ma nadziei utrzymania go przy życiu. Wówczas oświadczył, że pragnie zakomunikować nam swoje ostatnie polecenia.

Kiedy weszliśmy do pokoju, był wsparty o poduszki i ciężko dyszał. Polecił nam zamknąć drzwi na klucz i stanąć po obu stronach łóżka. Wtedy, pochwyciwszy nas za ręce, głosem łamiącym się ze wzruszenia i bólu uczynił niezwykle wyznanie. Postaram się oddać jego słowami to, co nam wtedy powiedział:

„Jeden tylko ciężar mam na sumieniu w tej ostatniej chwili — zaczął. — To sposób, w jaki postąpiłem z sierotą po Morstanie. Przekłęta chciwość, którą grzeszyłem przez całe życie, spowodowała, że ukryłem przed nią należny jej skarb, bo co najmniej połowa jej przypadła. A przecież sam też nie odniosłem stąd absolutnie żadnej korzyści, tak przekłętą rzeczą jest skąpstwo! Już samo uczucie posiadania tak mnie upajało, że nie mógłbym podzielić się z kimkolwiek. Czy widzicie ten różaniec wysadzany perłami tam, obok butelki z chininą? Nawet z nim nie mogłem się rozstać, choć po to go wyjąłem, żeby jej oddać. Tak, wy, moi chłopcy, musicie sierocie zwrócić należną jej część skarbu Agry. Nie czyńcie tego jednak teraz, dopóki jeszcze żyję. Bywało przecież, że cięższą niż ta chorobę ten czy ów przeżył. Opowiem wam teraz, w jaki sposób umarł Morstan — ciągnął ojciec. — Od wielu lat cierpiał na serce, ale ukrywał to przed wszystkimi. Ja jeden o tym wiedziałem. Podczas naszego pobytu w Indiach, dziwnym splotem okoliczności, weszliśmy w posiadanie znacznego skarbu. Przewiozłem go do Anglii i tego samego wieczora, kiedy Morstan wrócił do kraju, zjawił się u mnie po należną mu część. Przyszedł ze stacji piechotą. Wpuścił go do domu mój wierny Lal Chowdar, dziś już nieżyjący. Przy podziale skarbu doszło między nami do nieporozumienia i wymiany ostrych słów. Morstan zerwał się rozgniewany z krzesła, chwycił za serce, twarz mu pobladła i upadł w tył uderzając głową o kant szkatułki ze skarbem. Nachyliwszy się nad nim stwierdziłem z przerażeniem, że nie żyje. Długą chwilę siedziałem jak skamieniały, niepewny, co począć. Pierwszym moim odruchem było oczywiście wezwać pomoc, zdałem sobie jednak sprawę, że

podejrzeń musi paść na mnie. Jego śmierć podczas sprzeczki, dziura w głowie — wszystko to świadczyłoby przeciw mnie. Z drugiej zaś strony, gdyby doszło do urzędowego dochodzenia, wyszłaby na jaw sprawa skarbu, do czego w żadnym razie nie chciałem dopuścić. Zapewniłem sobie, że żywa dusza nie wie, dokąd się udał po przyjeździe. Uznałem, iż nie ma najmniejszej konieczności, aby się kiedykolwiek o tym dowiedziano. Rozmyślałem tak nad sytuacją, gdy nagle podniósłszy wzrok zobaczyłem mego służącego, Lal Chowdara, w drzwiach, które za sobą starannie zamknął. «Niech się pan nie obawia, sahib — rzekł. — Nikt nie potrzebuje wiedzieć, że go pan zabił. Ukryjemy ciało i ktoś się wtedy dowie?» «Ale ja go nie zabiłem» — wykrzyknąłem. Lal Chowdar uśmiechnął się tylko i potrząsnął głową. «Wszystko słyszałem, sahibie. Słyszałem kłótnię i uderzenie, lecz moje wargi będą milczeć. Wszyscy już śpią w całym domu. Usuńmy razem ciało». To wystarczyło, abym się zdecydował. Jeżeli mój własny służący mi nie wierzy, jak zdołałbym przekonać dwunastu głupawych kupców, tworzących sąd przysięgłych? Wraz z Lal Chowdarem zakopaliśmy ciało tej nocy, a po kilku dniach londyńskie gazety szeroko omawiały tajemnicze zniknięcie kapitana Morstana. Z tego, com wam opowiedział, sami się przekonacie, że trudno mnie potępiać. Przewinienie moje leży w tym, że równocześnie z ciałem ukryliśmy też skarb i że zatrzymałem przy sobie część należną Morstanowi. Pragnę obecnie, abyście krzywdę tę wynagrodzili. Przysuńcie bliżej uszy do mych ust — skarb ukryty jest w...»

W tej samej chwili twarz ojca straszliwie się zmieniła — oczy patrzyły dziko, szczeka opadła i zawołał głosem, którego nie zapomnę do końca życia: „Nie wpuszczajcie go!... Na litość boską, nie wpuszczajcie go!...” Obaj z bratem skierowaliśmy wzrok ku oknu, w które wpatrywał się ojciec. Z ciemności wynurzała się czyjaś twarz — widać było dokładnie, jak nos zbiegał, przyciśnięty do szyby. Była to twarz okolona brodą, zarośnięta, twarz o dzikich, okrutnych oczach i wyrazie skoncentrowanej złości. Obaj skoczyliśmy do okna, ale postać już znikła. Kiedy powróciliśmy do łóżka, głowa ojca opadła już na poduszki, a puls przestał bić.

Tej samej jeszcze nocy przeszukaliśmy starannie cały ogród, nie znaleźliśmy jednak żadnego śladu intruza, z wyjątkiem odcisku stopy tuż pod samym oknem, na klombie. Gdyby nie ten ślad, skłonni bylibyśmy uznać tę dziką, srogą twarz za wytwór naszej wyobraźni. Lecz niebawem inne, jeszcze wyraźniejsze znaki dowiodły, że jakieś tajemne moce działają dokoła nas. Następnego rana stwierdziliśmy, że okno w pokoju ojca jest otwarte, a wszystkie szuflady i schowki skrzętnie przeszukane. Na piersiach zmarłego widniała kartka z nabazgranymi w poprzek słowami: „Znak Czterech”. Co te słowa miały znaczyć i kto był tajemniczym gościem, nie dowiedzieliśmy się nigdy. O ile zdołaliśmy stwierdzić, nic z rzeczy ojca nie brakowało, choć wszystko zostało przeszukane. Obaj z bratem skojarzyliśmy oczywiście to dziwne wydarzenie ze strachem, który całe życie prześladował naszego ojca — ale poza tym wszystko to jest dla nas dalej zupełną tajemnicą.

Mały człowieczek przerwał na chwilę, aby zapalić na nowo swoją *hookah*, i jakiś czas pykał zamyślony. Siedzieliśmy wszyscy w milczeniu, przejęci jego dziwnym opowiadaniem. Przy krótkim opisie śmierci ojca panna Morstan śmiertelnie pobladła i miałem wrażenie, że zemdleje. Opanowała się jednak po wypiciu szklanki wody, którą jej nalałem ze stojącej na pobliskim stoliku karafki z weneckiego szkła. Sherlock Holmes siedział odchyłony wygodnie na oparciu fotela. Miał wygląd nieobecnego tu duchem, a błyszczące oczy przykrył powiekami. Patrząc tak na niego nie mogłem się powstrzymać od refleksji, że nie dalej jak rano uskarżał się na powszedniość życia. Oto wreszcie problem godny jego zdolności... Pan Thaddeus Sholto popatrzył na nas z widoczną dumą, że jego opowiadanie tak nas poruszyło, potem zaś ciągnął pykając z ogromnej fajki:

— Jak się państwo możecie domyślić, obaj z bratem byliśmy bardzo podekscytowani wiadomością o skarbie. Tygodniami i miesiącami przekopywaliśmy cały ogród — wszystko jednak nadaremnie. Do szału doprowadzała nas myśl, że w chwili śmierci miał na ustach rozwiązanie zagadki. Wspaniałości skarbu mogliśmy się domyślać po różańcu, który był jego częścią. O ten właśnie różaniec pokłóciliśmy się z Bartholomeusem. Widać było, że perły są niezwykle cenne, i mój brat nie miał chęci się z nimi rozstawać, gdyż, mówiąc szczerze, odziedziczył po ojcu chciwość. Nadto był zdania, że jeżeli oddamy różaniec, narazimy się na plotki, a w konsekwencji na kłopoty. Jediną rzecz, jaką zdołałem wywalczyć, to to, że odnalazłem adres panny Morstan i posyłałem jej w pewnych określonych odstępach czasu po jednej perle, tak aby nigdy nie znalazła się w trudnościach materialnych.

— To było bardzo uprzejme — rzekła nasza towarzyszka poważnie. — Doprawdy, niezwykle pięknie z pańskiej strony.

Mały człowieczek machnął przecząco ręką.

— Zawiadywaliśmy po prostu pani majątkiem — rzekł. — Takie było od początku moje stanowisko, chociaż mój brat Bartholomeus niezupełnie je podzielał. Mieliśmy obaj dosyć pieniędzy, nie pragnąłem mieć ich więcej. A poza tym byłoby w bardzo złym guście postępować w taki obrzydliwy sposób w stosunku do młodej damy. „*Le mauvais goût méne au crime*” — Francuzi bardzo to zręcznie ujęli. Różnica poglądów tak się między nami zaostrzyła, iż postanowiłem się wyprowadzić i zamieszkać oddzielnie. Opuściłem więc Pondicherry Lodge biorąc tylko mego starego khitmutgara i Williama. Aż tu wczoraj dowiaduję się o wydarzeniu niezwyklej doniosłości: skarb został odkryty. Skomunikowałem się więc od razu z panną Morstan i teraz nie pozostaje nam nic innego, jak udać się natychmiast do Norwood i domagać się naszego udziału. Poinformowałem brata o tym zamierzeniu, tak że będziemy tam oczekiwanymi, aczkolwiek może niezbyt pożądanymi gośćmi. Pan Thaddeus Sholto umilkł i siedział wierząc się niespokojnie na swej kanapce. Milczeliśmy wszyscy pogrążeni w myślach nad nowym obrotem tej tajemniczej sprawy. Pierwszy Holmes skoczył na równe nogi.

— Postąpił pan od początku do końca bardzo dobrze — rzekł. — Niewykluczone, że będziemy się mogli zrewanżować panu w pewnym nieznacznym stopniu, rzucając światło na niektóre dotychczas nie jasne dla pana momenty. Ale, jak przed chwilą zauważyła panna Morstan, robi się późno i najlepiej będzie, jeżeli od razu wyruszymy.

Nasz nowy znajomy zwinął niezwykle starannie rurkę swej fajki, wyjął spoza kotary bardzo długi płaszcz przyozdobiony karakułowym kołnierzem i mankietami i zapiął go szczelnie pod szyją, pomimo iż wieczór był parny. Uzupełnił ten strój króliczą czapką z wiszącymi nausznikami, tak że widać było tylko jego ruchliwą, długą twarz.

— Jestem dość delikatnego zdrowia — tłumaczył, gdyśmy szli wzdłuż korytarza. — Muszę dbać o nie jak najbardziej.

Powóz oczekiwał przed wejściem i widocznie wszystko było już z góry ułożone, gdyż skoro tylko zajęliśmy miejsca, konie ruszyły szparko. Thaddeus Sholto mówił bez przerwy, a jego piskliwy głos dominował nad turkotem kół.

— Bartholomeus to szczwany lis — zaczął. — Nie domyślą się państwo, jakim sposobem wpadł na to, gdzie ukryty jest skarb. Doszedł do wniosku, że musi być ukryty gdzieś wewnątrz domu. Porobił więc wszystkie pomiary z największą dokładnością. Między innymi wykrył, że wysokość domu wynosi siedemdziesiąt cztery stopy, ale kiedy dodał wysokości poszczególnych pięter i uwzględnił grubość stropów pomiędzy nimi — co do niej upewnił się borując dziury — nie mógł doliczyć się więcej aniżeli siedemdziesiąt stóp. Z niezrozumiałych przyczyn brakło czterech stóp. Skarb mógł się wobec tego mieścić wyłącznie na szczycie domu. Wybił więc w suficie najwyższego pokoju dziurę i tam natrafił na małą, nie znaną nikomu, ukrytą mansardę,

pośrodku której, oparta na dwu krokwiach, stała szkatuła ze skarbem. Wyciągnął ją i zbadał. Ocenia wartość znajdujących się w skrzyni klejnotów na co najmniej pół miliona funtów.

Usłyszawszy o tak olbrzymiej sumie spojrzeliśmy na siebie szeroko otwartymi oczami. Gdyby się udało zabezpieczyć prawa panny Morstan, zmieniałaby się ona w jednej chwili ze skromnej guwernantki w najbogatszą dziedziczkę Anglii. Rzecz prosta, prawdziwy przyjaciel powinien się tylko cieszyć z takiej możliwości, jednakże, wstyd mi przyznać, egoizm zawładnął mną całkowicie, a serce zaciążyło w piersi ołowiem. Zdołałem tylko wyjąknąć kilka bladych słów gratulacji, po czym usiadłem ze zwieszoną głową, obojętny na gadaninę naszego nowego znajomego. Był widocznie zdecydowanym hipochondrykiem i jak przez sen zdawałem sobie sprawę, że zalewał mnie potokiem najróżnorodniejszych symptomów i błagał o informacje co do składników i działania niezliczonych specyfików, z których kilka miał nawet w skórzanym pudełeczku w kieszeni. Mam nadzieję, że nie zapamiętał rad udzielonych mu przeze mnie owego wieczora. Holmes twierdzi, że słyszał, jak surowo ostrzegałem, żeby nie zażywał nigdy więcej niż dwie krople oleju rycynowego, natomiast polecałem wielkie ilości strychniny jako środka uspokajającego. Jakkolwiek było, z wielką ulgą poczułem, że powóz się zatrzymał, a woźnica wyskoczył otworzyć drzwiczki. — Jesteśmy w Pondicherry Lodge — rzekł pan Thaddeus Sholto pomagając pannie Morstan wysiąść.

## V. TRAGEDIA W PONDICHERRY LODGE

Dochodziła już prawie jedenasta, kiedy dobrnęliśmy do tego ostatniego etapu naszej wieczornej przygody. Za nami pozostała wilgotna mgła wielkiego miasta i tu noc była zupełnie pogodna. Z zachodu powiewał ciepły wiaterek, a ciężkie chmury przesuwwały się powoli po niebie, odsłaniając od czasu do czasu cienki sierp księżyca. Było dość jasno, mimo to Thaddeus Sholto odczepił jedną z bocznych latarni powozu, żeby nam poświecić.

Dwór Pondicherry Lodge posiadał wkoło dość duży obszar gruntów. Otaczał je bardzo wysoki kamienny mur, jeżący się na szczycie tłuczonym szkłem. Jedyne wejście stanowiła wąska, żelazem okuta brama i do niej to zastukał nasz przewodnik w specjalny sposób, rat-rat, podobnie jak stukają listonosze.

— Kto tam? — burkliwie spytał ktoś z wewnątrz.

— To ja, McMurdo. Mógłbyś już rozpoznawać mój sposób stukania.

Usłyszeliśmy gderliwy głos i brzęczenie kluczy. Drzwi otworzyły się ciężko i zobaczyliśmy niskiego, barczystego człowieka, na którego twarz i mrugające, nieufne oczy padło żółte światło naszej latarni.

— To pan Thaddeus? — spytał. — Ale kto są ci inni ludzie? Mój pan nie wydał mi żadnych poleceń co do tych osób.

— Nie, McMurdo? Dziwisz mnie, doprawdy... Wczoraj wieczorem zapowiedziałem bratu, że przywiozę ze sobą kilku przyjaciół.

— Pan nasz nie wychodził dzisiaj z pokoju, proszę pana, i nie dał mi żadnych poleceń. A sam pan wie dobrze, że muszę się ściśle trzymać rozkazów. Pana jednego mogę wpuścić, ale pańscy przyjaciele muszą pozostać tam, gdzie stoją.

Była to nieoczekiwana przeszkoda. Thaddeus Sholto rozejrzał się wokoło, zdziwiony i bezradny.

— To bardzo brzydko z twojej strony — rzekł do dozorca. — Jeżeli ja za nich gwarantuję, powinno ci to wystarczyć. Jest tu przecież także i młoda dama. Nie możemy jej pozostawić o tej godzinie na drodze.

— Bardzo mi przykro, proszę pana — odparł nieubłagany sługa. — Może to są pańscy przyjaciele, ale niekoniecznie przyjaciele mojego pana. Dobrze mi płaci za pełnienie mych obowiązków, więc chcę się z nich uczciwie wywiązać. Nie znam żadnego z pańskich towarzyszy.

— Ależ owszem, znasz — wykrzyknął Sherlock Holmes wesoło. — Nie sądzę, abyś mnie zapomniał. Czy nie przypominasz sobie pewnego amatora, który walczył z tobą trzy rundy na twoim benefisie u Alisona przed czterema laty?

— Czyżby pan Sherlock Holmes? — ryknął bokser. — Dalibóg, jak mogłem pana nie poznać? Gdyby tak zamiast stać spokojnie podszedł pan do mnie i zamachnął mnie tym swoim lewym sierpowym w szczęką, to poznałbym pana bez żadnego gadania... Oj, pan to zmarnował swój talent, zupełnie zmarnował... Mógłby pan daleko zajść w naszym fachu.

— Widzisz, Watsonie, skoro wszystko inne mnie zawiedzie, pozostaje mi jeszcze jedna naukowa kariera — rzekł Holmes ze śmiechem. — Jestem przekonany, że teraz nasz przyjaciel nie zechce trzymać nas dłużej na chłodzie.

— Proszę wejść, proszę wejść, drogi panie, pan i pana przyjaciele — odpowiedział. — Bardzo pana przepraszam — zwrócił się do Thaddeusa — ale mam ściśle rozkazy. Musiałem poznać pańskich przyjaciół, nim ich mogłem wpuścić.

Za bramą zwirowa ścieżka wiodła przez pusty, smutny ogród do ogromnego domu, kwadratowego i pozbawionego wdzięku, który pogrążony był w całkowitym cieniu, z wyjątkiem jednego okienka na strychu, oświetlonego promieniami księżyca. Rozmiary domu, jego ponurość i śmiertelna cisza mroziły serce. Nawet Thaddeus Sholto czuł się nieswojo i latarnia, którą trzymał w ręku, drżała i chwiała się na wszystkie strony.

— Nic nie rozumiem — rzekł. — Musiało zajść jakieś nieporozumienie. Wyraźnie zapowiedziałem bratu, że przejedziemy, a tymczasem okno jego pokoju jest ciemne. Nie mam pojęcia, jak to rozumieć?

— Czy zawsze ma zwyczaj tak strzec swojej posiadłości? — spytał Holmes.

— Tak, poszedł w ślady ojca. Trzeba państwu wiedzieć, że był ulubieńcem ojca i czasami myślę, że ojciec musiał mu powiedzieć o wiele więcej aniżeli mnie. O, tam wyżej, gdzie pada światło księżyca, jest jego pokój. Okno jest oświetlone, ale mam wrażenie, że nie z wewnątrz.

— Nie — potwierdził Holmes — ale za to widzę jakiś błysk światła tu, w małym okienku obok drzwi.

— Ach, to pokój gospodyni, tam zawsze siedzi pani Bernstone. Ona będzie mogła udzielić nam wyjaśnień. Może jednak zostanieiecie państwo na chwilę tutaj, bo jeżeli wejdziemy wszyscy razem, a ona nie jest uprzedzona o naszym przyjeździe, może się przestraszyć. O... ale cóż to takiego?

Uniósł latarnię tak drżącą ręką, że światło zamigotało i zachybotało wokół nas. Panna Morstan schwyciła moją dłoń i staliśmy tak wszyscy z mocno bijącymi sercami, nastawiając uszu. Z wielkiego czarnego domu płynął poprzez ciszę nocy najsmutniejszy, najżałośniejszy z dźwięków — przenikliwe, żalosne łkanie wystraszonej kobiety.

— To pani Bernstone — rzekł Sholto — jedyna kobieta w tym domu. Zaczekajcie państwo tutaj, wróć za chwilę.

Poszedł szybko do drzwi i zapukał w swój właściwy sposób. Ujrzelśmy wysoką starą kobietę, która go wpuściła i aż zachwiała się z radości na jego widok.

— Och, pan Thaddeus! Bardzo się cieszę, że pana widzę... Jak to dobrze, że pan przyjechał.

Słyszeliśmy jeszcze przez chwilę te radosne zapewnienia, dopóki głos nie ścichł za zamkniętymi drzwiami. Przewodnik zostawił nam latarnię. Holmes uniósł ją powoli w górę, rozglądając się dokoła, potem jął przypatrywać się domowi i rozrzuconym wszędzie wielkim kupom gruzu i śmieci. Panna Morstan i ja staliśmy blisko siebie, a jej dłoń spoczywała w mojej. Dziwnie subtelną rzeczą jest miłość... Oto staliśmy tu obok siebie, choć dnia tego widzieliśmy się po raz pierwszy, choć nie wymieniliśmy dotąd ani jednego spojrzenia, ani jednego tkliwszego słowa — a przecież teraz, w godzinie niepewności i trwogi nasze ręce instynktownie się odnalazły. Potem wielokrotnie nad tym zastanawiałem, wówczas jednak wydało mi się to najnaturalniejszą rzeczą na świecie, a ona również — jak mi później często powtarzała — instynktownie szukała we mnie opieki i oparcia. Staliśmy więc tak, trzymając się za ręce jak dwoje dzieci, a w naszych sercach panował spokój mimo mroku i niepewności, które otaczały nas zewsząd.

— Co za dziwne miejsce — rzekła rozglądając się wokoło.

— Wygląda tak, jak gdyby wszystkie krety z całej Anglii wyznaczyły sobie tutaj spotkanie. Widziałem coś podobnego na zboczu wzgórza w pobliżu Ballarat, gdzie poszukiwacze złota zryli cały teren.

— I z tego samego powodu — wtrącił Holmes —

są to bowiem ślady poszukiwaczy skarbu. Musisz pamiętać, że te poszukiwania trwają już od sześciu lat: Nic więc dziwnego, że cały ogród tak wygląda. W tym momencie drzwi domu

otworzyły się raptownie i wybiegł z nich Thaddeus Sholto z rękami wyciągniętymi przed siebie i wyrazem przerażenia w oczach.

— Jakieś nieszczęście musiało się wydarzyć Bartholomeusowi — krzyknął. — Boję się! Nie mogę tego wytrzymać nerwowo!

Rzeczywiście bełkotał ze strachu, a jego nerwowa twarz okolona karakułowym kołnierzem miała bezradny wyraz przestraszonego dziecka.

— Wejdźmy do domu — powiedział Holmes swym zwykłym, stanowczym tonem.

— O, tak, proszę — błagał Thaddeus Sholto — ja doprawdy nie czuję się na siłach, by coś postanowić.

Poszliśmy za nim. Pokój gospodyni znajdował się po lewej stronie korytarza. Staruszka, niespokojna i przerażona, przechadzała się po nim załamując ręce, ale widok panny Morstan jak by wywarł na niej uspokajające wrażenie.

— Niech Bóg ma w swojej opiece pani słodką, spokojną twarzyczkę — zawołała z historycznym szlochem. — Widok pani działa na mnie jak balsam. Och, jaki okropny był ten dzisiejszy dzień!

Nasza towarzyszka poklepała ją po chudych, spracowanych rękach, wymawiając jednocześnie kilka serdecznych słów otuchy, co przywróciło pobladłym policzkom gospodyni naturalny kolor.

— Pan zamknął się na klucz i nie odpowiada na moje pytania — wyjaśniła. — Cały dzień czekałam, aż mnie zawoła, bo często lubi być sam, ale godzinę temu zlekłam się, czy się coś złego nie stało, więc poszłam na górę i zajrzałam przez dziurkę od klucza. Pan Thaddeus musi iść na górę, musi pan sam iść i zobaczyć. Widywałam już pana Bartholomeusa w dobrych i złych chwilach w ciągu tych dziesięciu lat, ale nigdy nie widziałam, żeby miał taki wyraz twarzy...

Sherlock Holmes wziął lampę i skierował się pierwszy na górę, ponieważ Sholto szcząkał zębami ze strachu. Był tak wstrząśnięty, iż musiałem podeprzeć go ramieniem, bo kolana po prostu się pod nim uginały. Holmes dwukrotnie wyciągał z kieszeni lupę i badał starannie jakies ślady, które mnie wydawały się tylko smugami kurzu na chodniku z włókna kokosowego, jakim wyłożone były schody. Wchodził na górę wolno, krok za krokiem, trzymając lampę nisko i rzucając baczne spojrzenia na lewo i na prawo. Panna Morstan została, aby dotrzymać towarzystwa wystraszonej gospodyni.

Na drugim piętrze schody kończyły się dość długim prostym korytarzem. Prawą ścianę zdołał wielki indyjski gobelin, po lewej zaś znajdowało się troje drzwi. Holmes posuwał się naprzód powoli i metodycznie, my postępowaliśmy za nim krok w krok, a za nami kładły się na podłodze nasze długie cienie. Dotarliśmy do trzecich drzwi. Holmes zapukał, a nie otrzymawszy odpowiedzi, nacisnął klamkę. Drzwi jednak były zamknięte od wewnątrz, i to na duży, solidny zamek, jak mogliśmy się przekonać, przysunawszy blisko lampę.

Ponieważ klucz był przekręcony nieco w bok, nie zasłaniał całej dziurki. Sherlock Holmes pochylił się ku niej, po czym natychmiast się wyprostował, głośno zaczerpnawszy powietrza.

— To coś niesamowitego, Watsonie — rzekł zdradzając większe niż kiedykolwiek poruszenie. — Popatrz sam!

Pochyliłem się ku dziurce od klucza i natychmiast cofnąłem się przerażony. Pokój zalany był światłem księżycy i pełen jakiejś ruchomej, niewyraźnej jasności. Wpatrzona we mnie i jak by zawieszona w powietrzu — gdyż wszystko pod nią było ciemne — widniała twarz zupełnie podobna do twarzy naszego towarzysza, Thaddeusa. Ta sama wydłużona, błyszcząca czaszka, ten sam wianuszek rudych włosów dokoła niej, ta sama anemiczna cera. Jednakże rysy twarzy wykrzywił okropny uśmiech, nienaturalny i nieruchomy, który w tym cichym i zalanym księżycowym światłem pokoju był bardziej wstrząsający aniżeli jakies ponure skrzywienie czy grymas. Podobieństwo do naszego małego przyjaciela było tak uderzające, że obejrzałem się, aby

zobaczyć, czy istotnie jest z nami. Dopiero po chwili przypomniałem sobie jego słowa, że on i Bartholomeus są bliźniakami.

— To okropne — rzekłem do Holmesa. — Co robić?

— Przede wszystkim musimy się tam dostać — odpowiedział i odsunawszy się nieco runął całym ciałem na drzwi.

Skrzypnęły, ugięły się, ale nie ustąpiły. Powtórnie rzuciliśmy się na nie i tym razem legły z trzaskiem.

Znaleźliśmy się w pokoju Bartholomeusa Sholto. Pokój urządony był jak laboratorium chemiczne. Naprzeciw drzwi, pod ścianą, stały w dwóch rzędach butelki ze szklanymi korkami, na stole zaś leżały w nieładzie palniki Bunsena, probówki i retorty. W rogach stały gąsiorzy z kwasami oplecione wikliną. Jeden z nich widocznie przeciekał albo był nadtłuczony, wypływała bowiem z niego struga ciemnego płynu, a powietrze przepęśniał specyficzny, ostry, przypominający dziegieć zapach. Z jednej strony pokoju pośród odpadków tynku i desek stała drabinka, a nad nią widniał w suficie otwór dość duży, aby mógł się przezeń przedostać człowiek. U podstawy drabinki leżał rzucony niedbale zwój liny.

Przy stole, w drewnianym fotelu, zwiślał bezwładnie pan tego domostwa, z pochyloną na lewe ramię głową i tym upiornym, zagadkowym grymasem na twarzy. Był zupełnie sztywny, zimny i musiał nie żyć już od wielu godzin. Miałem wrażenie, jak gdyby nie tylko jego rysy, ale wszystkie członki były powykrzywiane w najbardziej fantastyczny sposób. Obok ręki opartej na stole leżał jakiś bardzo dziwny instrument — brązowy kij z twardego drzewa z kamienną główką w kształcie toporka, niedbale przywiązana zwykłym szpagatem, a obok kartka z notesu, na której ktoś nagryzmolił kilka słów. Holmes spojrzał i podał mi papier.

— Zobacz — rzekł podnosząc znacząco brwi.

W migotliwym świetle lampy przeczytałem z dreszczem przerażenia: „Znak Czterech”.

— Co to wszystko ma znaczyć, na miłość boską? — spytałem.

— To oznacza morderstwo — odpowiedział pochylając się nad trupem. — Aha, spodziewałem się tego! Popatrz!

Mówiąc to wskazał na coś, co tkwiło w skórze tuż nad uchem, a wyglądało na długi, czarny kolec.

— To wygląda jak cierń — powiedziałem.

— Bo to właśnie jest cierń. Możesz go wyjąć, ostrożnie jednak, bo jest zatruty.

Wyjąłem cierń dwoma palcami. Dał się tak łatwo wyciągnąć, że prawie nie pozostawił po sobie śladu. Jedyne maleńki krwawy punkcik wskazywał, gdzie było ukłucie.

— Wszystko to jest dla mnie nieprzeniknioną tajemnicą — powiedziałem. — Zamiast się wyjaśnić, sprawa staje się coraz bardziej ciemna.

— Wprost przeciwnie — odpowiedział Holmes. — Z każdą chwilą się wyjaśnia. Brakuje mi tylko kilku ogniw, aby cały łańcuch był gotów.

Od chwili gdy weszliśmy do pokoju, zapomnieliśmy prawie zupełnie, że jest z nami nasz przewodnik. Ciągle jeszcze stał nieruchomo w drzwiach, przerażony, załamując ręce i jęcząc po cichu. Nagle wybuchnął ostrym, przejmującym krzykiem:

— Skarb znikł! Ograbili go... Oto otwór w suficie, przez który wyciągnęliśmy szkatułkę. Sam mu pomagałem. Byłem ostatnią osobą, która go widziała. Zastawiłem go tutaj wczoraj wieczorem i słyszałem, jak zamykał drzwi na klucz, kiedy schodziłem po schodach.

— Która to mogła być godzina?

— Dziesiąta. A teraz on nie żyje i jak wezwiemy policję, to mnie będą podejrzewali o morderstwo. O tak, jestem tego pewien. Ale panowie nie myślicie tak przecież? Nie możecie



przypuszczać, że to ja! Gdyby tak było, czyż sprowadzałbym was tutaj? O Boże mój, Boże... Ja chyba zwariuję!

Potrząsał ramionami i tupał jak w napadzie szału.

— Nie ma pan powodu do obaw — rzekł łagodnie Holmes kładąc mu rękę na ramieniu. — Proszę pójść za moją radą, pojechać na posterunek i zawiadomić policję. Niech im pan zaproponuje wszelką pomoc ze swej strony. Zaczekamy tutaj na pański powrót.

Mały człowieczek, trochę zaskoczony, posłuchał rady i słyszeliśmy, jak chwiejnie zbiega po ciemnych schodach.

## VI. SHERLOCK HOLMES ROZWIJA SWOJĄ TEORIĘ

No, drogi Watsonie — rzekł Holmes zacierając ręce — zdobyliśmy teraz pół godzinki dla siebie. Wykorzystajmy ten czas. Jak ci powiedziałem, mam już prawie całe zagadnienie rozwikłane, nie wolno nam jednak pobłądzić wskutek zbytnej pewności siebie. Chociaż sprawa na oko wydaje się jasna, niewykluczone, że głębiej może się coś ukrywać.

— Jasna? — wykrzyknąłem.

— Oczywiście — odparł trochę z miną profesora w czasie wykładu klinicznego. — Usiądź tam w kącie, żeby twoje ślady nie komplikowały obrazu. A teraz do roboty!

Po pierwsze: jakim sposobem ci ludzie się tutaj dostali i jak wyszli? Od wczoraj wieczorem drzwi nie były otwierane. Ale co z oknem? — Przynają lampę do okna robiąc pod nosem uwagi, skierowane raczej do siebie aniżeli do mnie. Okno zaryglowane od wewnątrz, ramy solidne, dostęp na dach niemożliwy. Żadnych zawiasów z boku. Otwórzmy. Żadnej rynny w pobliżu. A jednak ten ktoś musiał wejść oknem. Poprzedniej nocy padał deszcz. Na parapecie odcisk stopy... O, a tu okrągła błotnista plama, i tu znowu na podłodze, i jeszcze tu przy stole. Spójrz no, Watsonie! Doprawdy, jest na co patrzeć!

Przyjrzałem się wyraźnym, okrągłym błotnistym plamom.

— To nie są ślady stóp — zauważyłem.

— To coś znacznie dla nas cenniejszego. To odcisk drewnianej protezy. O, widzisz, tu na parapecie odcisk buta, ciężkiego buta z metalową podkówką, a obok ślad protezy.

— Człowiek o drewnianej nodze!

— Właśnie... Ale był tu jeszcze i ktoś inny, bardzo zręczny i zdolny sprzymierzeniec. Czy potrafiłbyś wdrapać się po tej ścianie, doktorze?

Wychyliłem się przez otwarte okno. Księżyc ciągle jeszcze jasno oświetlał tę stronę domu. Znajdowaliśmy się dobre sześćdziesiąt stóp nad ziemią i mimo że uważnie szukałem, nie udało mi się zauważyć jakiegokolwiek oparcia dla nogi, żadnej szczeliny w murze.

— Zupełnie niemożliwe — odpowiedziałem.

— Niemożliwe bez pomocy. Przypuśćmy jednak, że masz pomocnika, który spuści ci tę mocną, dobrą linę, leżącą tu w rogu i przymocuje jeden jej koniec do tego solidnego haka w ścianie. Przypuszczam, że wówczas, gdybyś był człowiekiem czynu, potrafiłbyś wspiąć się w górę nawet z protezą. Rzecz prosta, wróciłbyś tą samą drogą, a twój współnik wciągnąłby linę, odwiązał z haka, zamknął okno, zaryglował je od wewnątrz i wreszcie wyszedł w ten sam sposób, jak wszedł. Dodatkowo możemy jeszcze stwierdzić — mówił dalej, kręcąc w palcach linę — że nasz drewnianonogi przyjaciel, choć doskonale potrafi się wspinać, nie jest zawodowym marynarzem. Jego dłonie są niezupełnie stwardniałe. Za pomocą lupy wykryłem kilka plamek krwi, zwłaszcza u końca liny, z czego wywnioskowałem, iż zsuwał się w dół z taką szybkością, że zdarł sobie skórę z rąk.

— To wszystko bardzo pięknie — powiedziałem — ale sprawa wikła się coraz bardziej. Cóż to za tajemniczy sprzymierzeniec? W jaki sposób dostał się do pokoju?

— Prawda, ten sprzymierzeniec! — powtórzył w zamyśleniu Holmes. — Są pewne ciekawe momenty, jeżeli chodzi o niego. Nadaje on całej sprawie piętno niezwykłości. Powiedziałbym, że ów sprzymierzeniec wprowadza nowe metody w historii zbrodni w naszym kraju, chociaż podobne przypadki zdarzały się w Indiach i jeżeli pamięć mnie nie zawodzi, w Senegambii.

— Ale jakim sposobem się tu dostał? — powtórzyłem. — Drzwi są zamknięte na klucz, dostępu do okna nie ma. Czyżby przez kominek.

— Już się zastanawiałem nad tą możliwością — odpowiedział — ale otwór jest na to zbyt mały.

— Więc jak? — nalegałem.

— Widzę, że nie stosujesz mojej metody — rzekł potrząsając głową. — Ileż razy mówiłem ci, że skoro wyeliminujesz rzeczy niemożliwe, to to, co pozostanie, chociaż nieprawdopodobne, musi być prawdą? Wiemy, że nie mógł wejść ani przez drzwi, ani przez okno, ani przez kominek. Wiemy też że nie mógł ukryć się przedtem w pokoju, gdyż nie ma tu żadnej odpowiedniej kryjówki. Którędy więc mógł się zjawić?

— Przez dziurę w suficie — wykrzyknąłem.

— Oczywiście. Musiał tak zrobić. Jeśli zechcesz potrzymać lampę, obejmiemy naszymi poszukiwaniami i ten pokój na górze — ów schowek, w którym ukryty był skarb.

Wszedł na drabinkę i chwyciwszy się oburącz krokwi, wciągnął się na strych. Potem, leżąc na brzuchu, sięgnął po lampę i przyświecał mi, gdy szedłem w jego ślady.

Pokój, w którym znaleźliśmy się teraz, miał rozmiary dziesięć na sześć stóp. Między stanowiącymi podłogę krokwiemi znajdowały się cienkie, pokryte tynkiem deski, tak że idąc trzeba było przeskakiwać z belki na belkę. Sufit wznosił się ku górze i był najwidoczniej wewnętrzną stroną dachu. Nie było tu ani jednego mebla, a nagromadzony od lat kurz i pył pokrywał podłogę grubą warstwą.

— Oto masz — rzekł Sherlock Holmes naciskając ręką pochyły sufit. — To zapadnia prowadząca na dach. A teraz opuszczam ją z powrotem i znów mamy tylko sufit. Tą drogą więc dostał się Numer 1. Zobaczymy teraz, czy znajdziemy jeszcze jakieś ślady jego osoby.

Opuścił nieco lampę i wówczas spostrzegłem po raz drugi tego wieczora wyraz zdumienia na jego twarzy. Gdym poszedł za jego spojrzeniem, przeszył mnie zimny dreszcz. Cała podłoga usiana była gęsto śladami bosych nóg. Wyraźne, doskonale widoczne, kształtne ślady nóg, lecz prawie o połowę mniejsze od stopy normalnego człowieka.

— Holmesie — szepnąłem przerażony — to dziecko dokonało tej okropnej zbrodni.

W jednej chwili odzyskał panowanie nad sobą.

— Przyznaję, że przez chwilę byłem także zaskoczony, sprawa jednak przedstawia się dość prosto. Zawiodła mnie pamięć, w przeciwnym bowiem razie powinienem był to przewidzieć. Niczego więcej tu nie znajdziemy. Schodźmy!

— Jaką masz teorię, jeżeli chodzi o te ślady? — spytałem skwapliwie, gdy znowu znaleźliśmy się w dolnym pokoju.

— Drogi Watsonie, spróbuj sam przeprowadzić maleńką analizę — odpowiedział mój przyjaciel z lekkim zniecierpliwieniem w głosie. — Znasz moje metody. Zastosuj je, a porównanie naszych wyników będzie bardzo pouczające.

— Nie mogę wpaść absolutnie na żaden pomysł, który by wyjaśnił te fakty.

— Niebawem wszystko stanie się dla ciebie jasne — rzekł niedbale. — Zdaje się, iż poza tym nie ma tu już nic ciekawego. Wolę jednak zobaczyć.

Wyciągnął lupę i kieszonkowy metr i czołgając się na kolanach mierzył, porównywał, badał pochylając długi, cienki nos tuż nad podłogą, a jego podobne do ptasich, głęboko osadzone oczy mocno błyszczały. Miał zwinne, ciche i ukradkowe ruchy psa gończego na tropie. Nie mogłem powstrzymać się od myśli, jaki byłby z niego straszliwy przestępca, gdyby tak zwrócił swoją energię i zdolności przeciwko prawu, a nie w jego obronie. Podczas poszukiwań ustawicznie coś mruczał do siebie, aż w końcu wydał głośny okrzyk radości.

— Można powiedzieć, że mamy szczęście! Nie powinniśmy już teraz mieć żadnego kłopotu. Numer 1 miał pecha, że wlaź w kreozot. Zauważ zarys jego małej stopy tu, obok tej cuchnącej mazi. Widzisz? Gąsior trzasł i zawartość wyciekła...

— No to co z tego? — spytałem.

— To, że go mamy. Znam psa, który za tym zapachem pójdzie na koniec świata. Jeżeli sfora potrafi wytropić śledzia ciągnionego przez całe hrabstwo, to co dopiero mówić o specjalnie tresowanym psie, jeśli mu dasz tak gryzący zapach. To przypomina mi sumę w regule trzech. Odpowiedź powinna nam dać... Ale hola! Otóż i oficjalni przedstawiciele prawa.

Z dołu słychać było gwar podniesionych głosów, ciężkie kroki i po chwili drzwi frontowe zamknęły się z trzaskiem.

— Nim się tu zjawią — rzekł Holmes — dotknij ramienia tego biedaka, o potem połóż rękę na jego nodze. Co odczuwasz?

— Ze mięśnie są twarde jak kamień — odpowiedziałem.

— Otóż właśnie... Znajdują się one w stanie niesłuchanego skurczu, znacznie silniejszego niż przy normalnym *rigor mortis*. Połączywszy to z wykrzywieniem twarzy, tym hipokratesowym uśmiechem, względnie *risus sardonicus*, jak to się nazywało u dawnych autorów, jakąż byś wyciągnął konkluzję?

— Śmierć spowodowana silnym roślinnym alkaloidem — odpowiedziałem — jakąś substancją w rodzaju strychniny, wywołującą tężec.

— To przede wszystkim przyszło mi na myśl, gdy ujrzałem skurcz mięśni twarzy. Od razu zacząłem szukać sposobu, w jaki trucizna została wprowadzona do organizmu. W twojej obecności znalazłem cierń, lekko wbity lub wystrzelony w skórę. Zauważ dalej, że cierń wbity został w część głowy zwróconą ku otworowi w suficie, jeżeli ten człowiek w fotelu siedział prosto. A teraz przyjrzyj się temu cierniowi.

Wziąłem go ostrożnie w palce i zbliżyłem do światła. Był długi, ostry i czarny, a przy samym końcu pokryty czymś w rodzaju glazury, jak gdyby nagumowany jakąś zaschniętą substancją. Ostrze było zatemperowane i wyrównane nożem.

— Czy to cierń angielski? — spytał.

— Nie, z całą pewnością nie.

— Na podstawie wszystkich dotychczasowych danych powinieneś wywnioskować coś konkretnego. Ale oto już mamy zawodowców, więc siły pomocnicze powinny się wycofać.

Gdy skończył te słowa, zbliżające się kroki zadudniły głośno po korytarzu i postawny, tęgi mężczyzna w szarym garniturze wszedł ciężko do pokoju. Miał twarz dużą i czerwoną i wielkie worki pod patrzącymi bacznie maleńkimi, mrugającymi oczkami. Tuż za nim postępował umundurowany policjant, na końcu zaś ciągle jeszcze drżący Thaddeus Sholto.

— A to ładna sprawa — wykrzyknął pierwszy zduszonym, ochrypłym głosem. — Któż tu jest? Cały ten dom roi się jak królicza jama!

— Chyba pan mnie sobie przypomina, panie Jones — powiedział spokojnie Holmes.

— Ależ oczywiście — sapał nowo przybyły. — To pan Sherlock Holmes, teoretyk. Jakżeż mógłbym nie pamiętać? Nigdy nie zapomnę, jak pan nas wszystkich pouczał o przyczynach, wnioskach i skutkach w tej aferze z klejnotami na Bishop's Gate. Rzeczywiście, pchnął nas pan wtedy na właściwy ślad, ale przyzna pan chyba, że to był raczej przysłowiowy łut szczęścia niż istotna wnikliwość.

— Nie, po prostu wynik logicznego rozumowania.

— No, no, no... nie przesadzajmy. Nigdy nie należy się wstydzić prawdy. Ale co się tu stało? Brzydka sprawa... Brzydka sprawa... Tutaj mamy do czynienia z nagimi faktami, tu nie ma miejsca na żadne teorie. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że właśnie znalazłem się w

Norwood w innej sprawie. Byłem akurat na stacji, kiedy mnie wezwano. Jak się panu zdaje, co było przyczyną śmierci?

— Och, nie zamierzam tu wygłaszać żadnych teorii — odpowiedział sucho Holmes.

— No, nie... nie. Przecież nie przeczymy, że udaje się panu niekiedy trafić w sedno. Och, Boże drogi! Podobno drzwi były zamknięte na klucz. Skradziono klejnoty wartości pół miliona. A co z oknem?

— Było zamknięte, ale na parapecie są ślady.

— Dobrze, dobrze, jeżeli okno było zamknięte, to ślady nie mają nic do rzeczy. Przynajmniej tak dyktuje zdrowy rozsądek. Ten człowiek mógł umrzeć na skutek jakiegoś ataku, ale znowu to zniknięcie klejnotów! Ha, już mi coś świta! Miewam niekiedy takie objawienia. Wyjdźcie z pokoju na chwilę, sierżancie i pan, panie Sholto. Pański przyjaciel może zostać. Co pan o tym myśli, panie Holmes? Jak sam wyznał, Thaddeus Sholto spędził wczorajszy wieczór z bratem. Brat ma jakiś atak, umiera, po czym nasz Sholto odchodzi sobie ze skarbem. No? I co pan na to?

— Że potem nieboszczyk bardzo roztropnie wstaje i zamyka drzwi na klucz od wewnątrz.

— Hm... Tak, rzeczywiście... to się nie bardzo zgadza. Kierujmy się rozsądkiem. Ten Thaddeus Sholto był u brata, sam to przyznaje. Kłótnia między nimi miała miejsce. Tyle wiemy na pewno. Brat nie żyje, a klejnoty znikły. I to także wiemy z całą pewnością. Od chwili wizyty Thaddeusa nikt nie widział jego brata. Łóżko nie było posłane i nikt w nim nie spał. Thaddeus jest najwidoczniej bardzo wzburzony. Powierzchność ma — no, powiedzmy, mało atrakcyjną. Jak pan widzi, snuję swą pajęczynę wokoło Thaddeusa. Sieć zaczyna się nad nim zamykać.

— Nie jest pan jeszcze zorientowany we wszystkich faktach — rzekł Holmes. — Ten kawałek drzewa, moim zdaniem zatruty, tkwił w głowie zmarłego, gdzie jeszcze może pan dojrzeć ślad ukłucia. Ta kartka z napisem, którą pan tu widzi, leżała na stole, a obok niej to dziwne, zakończone kamienną głowicą narzędzie. Jak to wszystko pasuje do pana teorii?

— Potwierdza ją w całej rozciągłości — odpowiedział grubas pompatycznie. — Cały dom pełen jest indyjskich różności. Thaddeus sam o tym wspominał i jeżeli ta drzazga jest zatruta, to on mógł się nią posłużyć do celów zbrodniczych równie dobrze, jak kto inny. Kartka to taki hokus-pokus dla zamydlenia oczu. Jedynym zagadnieniem jest: jak się wydostał? Ach, naturalnie... Oto dziura w suficie! Z dużą jak na swoją tuszę zręcznością wskoczył na drabinkę, przecisnął się na stryszek i bezpośrednio potem usłyszeliśmy triumfalny okrzyk, że znalazł wyjście na dach.

— I on może przypadkiem coś znaleźć — powiedział Holmes wzruszając ramionami. — Miewa od czasu do czasu przebłycki rozsądek. *Il n'y a pas des sots si incommodes que ceux qui ont de l'esprit!*

— No, widzicie! — zawołał Athelney Jones schodząc z powrotem na dół. — Koniec końców, fakty są zawsze lepsze od teorii. Mój pogląd na sprawę się potwierdza. Na górze jest zapadnia prowadząca na dach, i to nie domknięta.

— To ja ją otworzyłem.

— O, doprawdy? Więc pan to także zauważył? — Zdawał się trochę przygnębiony tym odkryciem. — Wszystko jedno... ktokolwiek to pierwszy zauważył, wiemy już, jak nasz gość się stąd wydostał. Sierżancie!

— Słucham — zabrzmiało z korytarza.

— Poproście pana Sholto, żeby tu przyszedł. Panie Sholto, obowiązkiem moim jest przestrzec pana, że cokolwiek pan teraz powie, będzie mogło być użyte przeciwko panu. Aresztuję pana w imieniu Królowej jako zamieszanego w sprawę zabójstwa pańskiego brata.

— No właśnie! Czy nie mówiłem? — krzyknął biedny człowieczek wyciągając do nas ręce i spoglądając z rozpaczą to na jednego, to na drugiego.

— Niech się pan tym nie przejmuję, panie Sholto — rzekł Holmes. — Mogę wykazać pańską niewinność...

— Proszę nie obiecywać za wiele, panie Teoretyku, proszę nie obiecywać — fuknął detektyw. — Może to być twardszy orzech do zgryzienia, aniżeli się panu na oko zdaje.

— Nie tylko wykazę jego niewinność, panie Jones, ale uczynię panu podarek z nazwiska i dokładnego rysopisu jednego z dwu ludzi, którzy byli w tym pokoju wczoraj wieczorem. Mam wszelkie dane przypuszczać, że nazywa się Jonathan Small. To człowiek mało wykształcony, ruchliwy, bez prawej nogi, zamiast której nosi drewnianą protezę, bardzo zniszczoną od strony wewnętrznej. Podeszwa jego lewego buta jest chropowata, ma kwadratowy czub i żelazną podkówkę dokoła obcasa. To człowiek w średnim wieku, mocno opalony i były więzień. Te kilka wskazówek może być panu pomocne, jeżeli jeszcze dodamy fakt, że ma zdartą skórę z dłoni, zaś drugi człowiek...

— Ach... drugi? — spytał Jones szyderczo, choć najwidoczniej nieco zbity z tropu dokładnością tych informacji.

— To bardzo osobliwa postać — dokończył Sherlock Holmes obracając się na obcasie. — Mam nadzieję, że niebawem uda mi się przedstawić panu tę parę. Słowo, Watsonie... Odciągnął mnie w kierunku schodów.

— Całe to niespodziewane wydarzenie sprawiło, że zatraciliśmy właściwy cel naszej wycieczki — rzekł.

— To samo sobie pomyślałem. Panna Morstan nie powinna przebywać tu dłużej.

— Słusznie. Musisz ją odwieźć do domu. Mieszka u pani Cecylii Forrester, w Lower Camberwell, więc nawet niedaleko stąd. Zaczekam na ciebie tutaj... chyba że czujesz się zbyt zmęczony...

— Nic podobnego. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł wypocząć, nim dowiem się czegoś więcej o tej fantastycznej sprawie. Widziałem już w życiu sporo, ale przyznaję, że te szybko następujące po sobie dziwne fakty dzisiejszego wieczora wyraźnie nadszarpane mi nerwy. Mimo to, kiedy już zaszliśmy tak daleko, chciałbym dobrać z tobą do końca.

— Twoja obecność będzie mi bardzo pomocna — odpowiedział. — Popracujemy nad tą sprawą na własną rękę, a ten Jones niech sobie robi, co chce, i wymyśla nowe bzdurne teorie. Gdy odwieszysz pannę Morstan, chciałbym, abyś wstąpił pod numer 3 na Pinchin Lane, tuż nad brzegiem rzeki koło Lambeth. Trzeci dom na prawo należy do niejakiego Shermana, który trudni się wypychaniem ptaków i zwierząt. W oknie zresztą zobaczysz wypchaną wydrę z młodym królikiem w zębach. Wywołaj Shermana, pozdrów go ode mnie i powiedz, że potrzebny mi jest Toby, i to zaraz. Przywieziesz go ze sobą.

— Przypuszczalnie chodzi ci o psa?

— Tak, to przedziwny kundel o niebywałym węchu. Bardziej sobie cenię pomoc Toby'ego niż całej londyńskiej policji.

— Z pewnością go przywiozę — obiecałem. — Teraz jest pierwsza. Jeżeli zdołam gdzieś zmienić konia, mógłbym tu być z powrotem przed trzecią.

— Ja tymczasem — rzekł Holmes — zobaczę, czego będę się mógł dowiedzieć od pani Bernstone i hinduskiego służącego, który jak mi powiedział Sholto, sypia na strychu. Następnie przestudiuję metody wielkiego Jonesa i posłucham jego mało subtelnych sarkazmów. *Wir sind gewohnt, dass die Menschen verhöhnen, was sie nicht verstehen*. Goethe zawsze wyraża się jędrnie.

## VII. EPIZOD Z BECZKĄ

Policja przyjechała dorożką, którą teraz odwiozłem pannę Morstan do domu. Zwyczajem kobiet o anielskim sercu potrafiła tak długo zachować spokojną twarz wśród nieszczęścia, jak długo zachodziła potrzeba podtrzymywania na duchu kogoś słabszego. Znalazłem ją więc spokojną i pogodną u boku przestraszonej gospodyni Bartholomeusa. Za to w dorożce najpierw zemdłała, a potem wybuchnęła gwałtownym szlochom — tak nią wstrząsnęły przygody tej nocy. Powiedziała mi kiedyś później, że w czasie tej jazdy wydałem się jej człowiekiem chłodnym i obojętnym. Nie mogła domyślić się walki, jaka się toczyła we mnie, i wysiłku, z jakim poskramiałem swe uczucia. Moje uczucie biegło ku niej — tak jak wtedy w ogrodzie, gdy ręce nasze się spotkały. W ciągu długich lat konwencjonalnej znajomości nie byłbym w stanie poznać jej anielskiego, dzielnego serca aniżeli w jeden jedyny wieczór tych zdumiewających wydarzeń. Lecz dwa względy kierowały mną, gdy nakazałem ustom milczenie: była słaba, bezbronna i roztrzęsiona nerwowo. Nieuczciwością byłoby z mojej strony narzucać się jej w takiej chwili z uczuciami. Co gorsza, była osobą bogatą. O ile poszukiwania Holmesa dadzą pozytywny rezultat, stanie się posażną dziedziczką. Czy byłoby uczciwe i zgodne z honorem, aby ubogi lekarz wykorzystywał sytuację, w której się przypadkowo znalazł? Czy nie miałyby prawa uważać mnie za zwykłego łowcę posagów? Nie mogłem ryzykować, żeby tego rodzaju podejrzenie chociaż na chwilę zaświtało w jej mózgu. Skarb Agry piętrzył się między nami jak niepokonana przeszkoda.

Była prawie druga, gdy dotarliśmy do mieszkania pani Forrester. Służba już od wielu godzin udała się na spoczynek, ale pani Forrester tak była zaciekawiona dziwnym listem, jaki otrzymała panna Morstan, że jeszcze się nie położyła i czekała na jej powrót. Sama otworzyła nam drzwi. Była to kobieta w średnim wieku, pełna wdzięku i z prawdziwą radością zobaczyłem, jak serdecznie opasała ramieniem kibić panny Morstan i jakim macierzyńskim tonem ją powitała. Czuło się wyraźnie, że panna Morstan nie jest tu tylko płatną pracownicą, ale i szczerze cenioną przyjaciółką. Gdy zostałem przedstawiony, pani Forrester serdecznie zapraszała, bym wszedł i opowiedział szczegółowo przygody dzisiejszego wieczoru. Wytłumaczyłem się jednak ważnym poleceniem i obiecałem solennie, że odwiedzę je później i opowiem o dalszym rozwoju sprawy. Dorożka ruszyła sprzed domu, a ja spojrzałem raz jeszcze za siebie i na zawsze pozostanie mi w oczach ta mała grupka na schodach — dwie wdzięczne, splecione ramionami postacie w półotwartych drzwiach, światło padające z hallu przez kolorowe szybki, barometr i błyszczące pręty, które przytrzymały chodnik. Jakże kojąco działał ten przelotny rzut oka na spokojny angielski dom wśród tej tajemniczej i niesamowitej sprawy, którą byliśmy zaprzątnięci.

A im bardziej się nad wszystkim zastanawiałem, tym bardziej tajemniczo i niesamowicie rysowała się ona przede mną. Trzęsąc się w dorożce po cichych, oświetlonych gazem uliczkach, rozpamiętywałem cały łańcuch dziwnych wydarzeń. A więc najpierw zasadniczy problem. Ten był zupełnie wyraźny. Śmierć kapitana Morstana, przesyłka pereł, ogłoszenie, list — wszystko zupełnie jasne, ale wiodące do głębszej jeszcze i znacznie tragiczniejszej tajemnicy. Skarb z Indii, zagadkowy plan znaleziony wśród rzeczy Morstana, dziwna scena, jaka się rozegrała tuż przed śmiercią majora Sholto, odnalezienie skarbu, po którym natychmiast nastąpiła śmierć znalazcy, przedziwne okoliczności towarzyszące zbrodni, ślady stóp, niezwykła broń, słowa nabazgrane na kartce, identyczne ze słowami na planie kapitana — oto cały labirynt, w którym człowiek mniej utalentowany niż mój przyjaciel zgubiłby się niezawodnie.

Pinchin Lane była rzędem obdrapanych dwupiętrowych domków z surowej cegły. Musiałem kilka razy zapukać pod numer trzeci, zanim ktoś się odezwał. Wreszcie jednak za zapuszczonymi roletami mignęło światło, a w górnym oknie ukazała się czyjaś twarz.

— Idź precz, pijany włóczęgo — zawołał jej właściciel. — Jeżeli nie przestaniesz robić hałasu, otworzę drzwi psiarni i wypuszczę na ciebie wszystkie czterdzieści trzy psy, jakie mam.

— Niech pan wypuści tylko jednego z nich, a cel mój zostanie osiągnięty — odpowiedziałem.

— Wynoś się — krzyczał głos z okna — jak mi Bóg miły, mam tutaj w torbie żmiję i zaraz spuszczę ci ją na głowę, jeżeli nie przestaniesz.

— Ale kiedy ja potrzebuję psa — odkrzyknąłem w górę.

— Nie kłóć się ze mną — wrzasnął pan Sherman. — Uważaj dobrze, liczę do trzech, a potem rzucam żmiję.

— Pan Sherlock Holmes... — zacząłem tylko, słowa te miały jednak widocznie jakąś magiczną siłę, bo okno natychmiast się zamknęło, a po chwili drzwi domu odryglowano i otworzono. Pan Sherman był chudym, wysokim starcem o przygarbionych plecach, żyłastej szyi i oczach ukrytych za niebieskimi szklami.

— Przyjaciół pana Sherlocka Holmesa jest tu zawsze mile widziany — rzekł. — Proszę, niech pan wejdzie. Niech pan uważa na tego borsuka, bo gryzie. Ach, brzydal! jeden... ostrzysz sobie zęby na tego pana?

Słowa te skierował do zwierzaka, który właśnie wysuwał przez pręty klatki swą złośliwą mordkę o czerwonych oczach.

— Proszę nie zwracać uwagi, to nie żmija, tylko padalec, więc pozwalam mu łązić po mieszkaniu i tępić owady. Niech mi pan nie bierze za złe, że byłem może trochę niegrzeczny początkowo, ale to dlatego, że wciąż dokuczają mi dzieci, coraz to przychodzą i stukają do drzwi. Czego sobie życzy pan Holmes, proszę pana?

— Chce jednego z pańskich psów.

— Aha, pewno chodzi o Toby'ego,

— Tak, tak, to miał być Toby.

— Toby zajmuje numer siedem, tutaj na lewo.

Ze świecą w rękę ruszył powoli naprzód wśród swojej dziwacznej zwierzęcej rodziny. W niepewnym, migotliwym świetle widziałem wszędzie błyszczące oczy, wpatrzone w nas ze wszystkich zakamarków mieszkania. Nawet krokwie obsiadły różne zaspane ptaki, które leniwie przestępowały z nogi na nogę, zbudzone naszą rozmową.

Okazało się, że Toby to brzydkie, długowłose i kłapouche stworzenie — trochę spaniel, trochę legawiec, a najbardziej kundel w brązowe i białe łaty, o niezgrabnym, kaczkowatym chodzie. Po krótkiej chwili wahania przyjął ode mnie kawałek cukru, który dostałem od starego zoologa, a kiedyśmy się w ten sposób zaznajomili, poszedł ze mną bez sprzeciwu. Biła właśnie trzecia na zegarze, gdy znalazłem się z powrotem w Pondichery Lodge. Eks-bokser McMurdo został tymczasem aresztowany jako zaplątany w zabójstwo i w towarzystwie pana Sholto odmaszerował na posterunek policji. Bramy strzegło dwu policjantów, skoro jednak wymieniłem nazwisko detektywa, przepuścili mnie razem z psem.

Holmes stał na progu z rękami w kieszeniach, pykając fajkę.

— Aha, masz go — powiedział — dobry piesek, dobry... Athelney Jones poszedł sobie. Odkąd odjechałeś, byliśmy tu świadkami jego niesłychanie energicznej działalności. Zaaresztował nie tylko naszego przyjaciela, Thaddeusa, ale także odźwiernego, gospodynię i hinduskiego służącego. Poza jednym sierżantem na piętrze i nami nie ma w domu żywego ducha. Zostaw psa tutaj i chodź ze mną na górę.



Przywiązawszy Toby ego w hallu do nogi stołu, poszliśmy na górę. Pokój wyglądał tak samo jak poprzednio, z tą różnicą, że ciało przykryto prześcieradłem. Znużony policjant tkwił w kącie.

— Niech mi pan pożyczy swojej latarki, sierżancie — rzekł mój towarzysz. — Uczep mi ją na szyi tak, żeby wisiała z przodu. Dziękuję. Teraz muszę zdjąć buty i skarpetki. Zabierz je ze sobą na dół, Watsonie. Zamierzam zrobić małą wspinaczkę. I umaczaj moją chusteczkę w kreozocie. Wystarczy. A teraz chodź ze mną na chwilę na strych.

Przecisnęliśmy się przez dziurę. Holmes jeszcze raz oświetlił ślady stóp odcisnięte w kurzu.

— Zwróć specjalną uwagę na te ślady — rzekł. — Czy zauważyłeś w nich coś szczególnego?

— Chyba to, że pozostawiło je dziecko albo jakaś drobna kobieta — odpowiedziałem.

— Nie, myślę o czymś innym, nie o wielkości. Nic cię w nich nie uderza?

— Zdaje mi się, że nie różnią się niczym od innych.

— Nic podobnego. Spójrz uważnie. Oto odcisk prawej stopy. Teraz ja postawię swoją nogę obok. Czy widzisz jakąś zasadniczą różnicę?

— Palce twojej stopy przylegają ściśle do siebie, natomiast ten drugi ślad ma każdy palec sterczący oddzielnie.

— O, właśnie. W tym rzecz. Zapamiętaj to sobie.

A teraz, czy nie zechciałbyś podejść do okna i powąchać framugi? Ja zostanę tu, gdzie jestem, bo mam tę chusteczkę w ręku.

Zrobiłem, jak chciałem, i od razu poczułem silny zapach jakby dziegciu.

— Tu właśnie postawił nogę wychodząc. Jeżeli ty możesz natrafić na jego ślad, to mam wrażenie, że Toby nie będzie miał najmniejszych trudności. A teraz pobiegnij szybko na dół, odwiąż psa i oczekuj występu Blondina.

Zanim zeszedłem na dół, Sherlock Holmes był już na dachu, i widziałem, jak pełza wolno wzdłuż okapu, podobny do ogromnego robaczka świętojańskiego. Straciłem go po chwili z oczu — potem znowu wyłonił się na krótko spoza grupy kominów i jeszcze raz zniknął po przeciwnej stronie. Gdy okrążyłem dom, siedział już na narożnym okapie.

— Czy to ty, Watsonie? — krzyknął.

— Tak.

— To właśnie miejsce, którego szukałem. Co to za jakiś ciemny przedmiot tam na dole?

— Beczka z wodą.

— Przykryta?

— Tak.

— Ani śladu drabiny?

— Nie.

— Niech diabli wezmą tego gościa! To karkołomne miejsce. Powinienem jednak zejść stąd na dół, jeżeli on umiał się tu wdrapać. Rynna wydaje się dość solidna... no, jakoś idzie. Usłyszałem suwanie bosych stóp i światło latarki zaczęło zjeżdżać w dół. Potem Holmes lekko zeskoczył na beczkę, a z beczki na ziemię.

— Wcale nie było trudno iść w jego ślady — rzekł wciągając skarpetki i buty — bo dachówki były wszędzie obluźnione. Popatrz, co zgubił w pośpiechu. Potwierdza to w zupełności moją diagnozę, mówiąc waszym doktorskim stylem.

Przedmiot, który mi pokazał, była to mała torebka czy sakiewka z różnokolorowej trawy, ozdobiona kilkoma jaskrawymi paciorkami. Wielkością i kształtem przypominała papierosnicę. Wewnątrz znajdowało się pół tuzina kolców z ciemnego drzewa zaokrąglonych na jednym, a zaokrąglonych na drugim końcu, takich jak ten, który tkwił w głowie Bartholomeusa Sholto.

— To diabelska broń — rzekł Holmes — uważaj, żebyś się nie ukłuł. Jestem zachwycony moim znaleziskiem, bo wszystko przemawia za tym, że tyle tylko koleców posiadał. Tym samym zmniejsza się obawa, że któryś z nas znajdzie coś takiego we własnej skórze. Jeżeli idzie o mnie, wolałbym raczej mieć do czynienia z kulką Martiniego. Czy czujesz się na siłach odbyć jeszcze sześciomilowy spacer, Watsonie?

— Oczywiście.

— Twoja noga wytrzyma taki marsz?

— O, z pewnością.

— Do nogi, piesku... Dobry, stary Toby. Powąchaj to, powąchaj, Toby. — Mówiąc to podsunął psu pod nos chusteczkę umaczaną w kreozocie. Pies stał na rozkraczonych szeroko włośchatych nogach i potrząsał komicznym czubkiem na głowie — zupełnie jak jakiś znawca win delektujący się zapachem najwyszukańszego rocznika. Następnie Holmes wyrzucił chusteczkę, przywiązał do obroży kundla mocną linkę i podprowadził go do beczki. Zwierzak natychmiast wybuchnął gwałtownym, namiętym ujadaniem i z nosem przy ziemi i zadartym ogonem rzucił się za śladem tak gwałtownie, że linka mocno się napięła, my zaś ledwie mogliśmy za nim nadążyć.

Zaczęło się powoli rozwidniać i mogliśmy już coś niecoś rozróżnić w chłodnej, szarej poświacie. Za nami, smutny i opuszczony, wznosił się kwadratowy masyw domu o czarnych, pustych oknach i wysokich nagich ścianach. Droga nasza wiodła w poprzek przez ogród, to znaczy pośród rowów i dołów, którymi był poprzecinany. Całe to miejsce, z rozrzuconymi bezładnie kupami śmieci i dziko rosnącymi krzakami, miało wygląd zaniedbany, niesamowity i harmonizowało z tragedią, jaka się tu rozegrała.

Po dojściu do muru ogradzającego posiadłość, Toby jął rwać wzdłuż niego skomląc przejmująco i wreszcie zatrzymał się w rogu osłoniętym koronami młodej brzozy. W miejscu, gdzie stykały się ze sobą dwie ściany, kilka cegieł było wyjętych, a powstałe w ten sposób szpary najwidoczniej nieraz już służyły jako drabina, bo były mocno wydeptane. Holmes wdrapał się na mur i wzięwszy psa ode mnie, spuścił go na drugą stronę.

— Widzę tutaj ślad ręki naszego drewnianonogiego — posiedział, kiedy się wdrapałem i usiadłem przy nim. — Zauważ tę lekką smugę krwi na białym tynku. Co za szczęście, że od wczoraj nie padał duży deszcz. Mimo że wyprzedzili nas o jakieś dwadzieścia osiem godzin, zapach dziegciu nie ulotnił się jeszcze.

Przyznaję, że sam zapatrywałem się na tę sprawę sceptycznie, biorąc pod uwagę ogromny ruch kołowy na tej londyńskiej drodze. Jednakże obawy moje okazały się płonne. Toby ani się nie zawahał, ani nie zatrzymał, lecz biegł dalej szparko swoim zabawnym, kaczym kroczkiem. Najwidoczniej woń kreozotu dominowała nad wszelkimi innymi.

— Nie wyobrażaj sobie — rzekł Holmes — iż liczę na powodzenie tylko dzięki przypadkowi, że jeden z tych typów wdepnął w kreozot. Posiadam jeszcze inne dane, które by mi pozwoliły i tak ich odnaleźć. Ta droga jest jednak najłatwiejsza, a ponieważ los mnie na nią naprowadził, byłbym głupcem, gdybym jej nie wykorzystał. Gdyby nie ten bardzo wyraźny ślad, mógłbym pewnie uzyskać duży rozgłos dzięki tej całej sprawie, ponieważ problem zapowiadał się jako ciekawa, zupełnie intelektualna zagadka.

— Rozgłosu masz aż nadto — odpowiedziałem. — Zapewniam cię, Holmesie, że podziwiam metody, jakimi doszedłeś do swych dotychczasowych wyników, bardziej może aniżeli wtedy, gdy zajmowałeś się morderstwem Jeffersona Hope. Ta sprawa wydaje mi się cięższa, jeszcze bardziej niewytłumaczalna! Jak na przykład mogłeś z taką dokładnością opisać człowieka z drewnianą nogą?

— Phi, mój drogi... Nic prostszego pod słońcem... Nie chcę zgrywać się przed tobą, wszystko bowiem jest jasne. Dwaj oficerowie, którym powierzono straż nad więźniami, dowiadują się o ukrytym skarbie. Pewien Anglik, Jonathan Small, sporządza dla nich plan. Przypominasz sobie przecież, że widzieliśmy to nazwisko na rysunku znajdującym się w posiadaniu Morstana. Podpisany jest imieniem Smalla i jego towarzyszy — tym „Znakiem Czterech”, jak to dramatycznie nazwał. Przy pomocy owego planu oficerowie, a może jeden z nich, odnajdują skarb i przewożą do Anglii, nie wypełniwszy — jak przypuszczam — jakiegoś warunku, pod jakim skarb otrzymali No, ale dlaczego Jonathan Small sam nie przywłaszczył sobie skarbu? Odpowiedź jest jasna. Wszak plan pochodzi z okresu, kiedy Morstan znajdował się w bliskim kontakcie z więźniami. Jonathan Small nie zabrał skarbu, ponieważ on i jego towarzysze byli wtedy w więzieniu i nie mogli uciec.

— Ależ to tylko twoje przypuszczenie — powiedziałem.

— Nie, to coś więcej. To jedyna hipoteza uwzględniająca wszystkie fakty. Zobaczmy, jak pasuje do całości. Major Sholto korzysta przez pewien czas z zupełnego spokoju i jest szczęśliwym posiadaczem skarbu. Potem przychodzi list z Indii, który napędza mu stracha. Co to mógł być za list?

— Przypuszczalnie wieść, że ludzie, którym wyrządził krzywdę, zostali zwolnieni.

— Albo też zbiegli: To ostatnie wydaje mi się bardziej prawdopodobne, bo przecież musiał wiedzieć, na ile lat byli skazani, zwolnienie więc nie mogło stanowić dla niego żadnej niespodzianki. Co wtedy robi nasz major? Wystrzega się człowieka o drewnianej nodze, człowieka białego, zakonotuj to sobie, ponieważ bierze za niego wędrownego handlarza i strzela. Na planie figuruje tylko jedno nazwisko białego, inni to Mahometanie lub Hindusi. Nie ma żadnego innego białego. Możemy zatem z całą pewnością powiedzieć, że człowiek o drewnianej nodze nie jest kim innym jak Jonathanem Small. Czy rozumowanie moje wydaje ci się błędne?

— Nie, jest jasne i zwięzłe.

— Dobrze więc, postawmy się teraz w sytuacji Jonathana Small i spójrzmy na całą sprawę z jego punktu widzenia. Przybył do Anglii mając na celu odzyskać to, co jego zdaniem prawnie mu się należy, i zemścić się na człowieku, który go skrzywdził. Dowiedział się, gdzie mieszka Sholto i, bardzo możliwe, nawiązał kontakt z kimś w jego domu. Jest tam ten służący, Lal Rao, którego nie mieliśmy sposobności zobaczyć. Pani Bernstone nie wyraża się o nim najlepiej. Small jednak nie zna miejsca, gdzie skarb został ukryty, ponieważ poza samym majorem wiedział o tym zaledwie jeden wierny sługa, który zmarł. Nagle Small dowiaduje się, że major leży na łożu śmierci. Oszałały ze strachu, by tajemnica skarbu nie zginęła wraz z majorem, przedostaje się przez strażę, dociera aż do okna pokoju umierającego i tylko obecność synów powstrzymuje go od wdarcia się do środka. Nieprzytomny z nienawiści do zmarłego, dostaje się jednak w nocy do pokoju, przeszukuje jego prywatne papiery w nadziei znalezienia jakiejś notatki odnoszącej się do skarbu, wreszcie pozostawia pamiątkę swej bytności na wydartej kartce papieru. Umyślił sobie z pewnością przedtem, że zamordowawszy majora, pozostawi tego rodzaju kartkę przy zmarłym jako znak, że nie jest to zwykłe morderstwo, lecz — z punktu widzenia czterech towarzyszy — coś jak gdyby wymiar sprawiedliwości. Pomysły tego rodzaju nie są rzadkie w kronikach zbrodni i dają przeważnie cenne wskazówki, jeżeli chodzi o osobę przestępcy. Czy mnie dobrze rozumiesz?

— Doskonale.

— Cóż więc robi nasz Jonathan Small? Może jedynie z ukrycia śledzić, jaki dalszy obrót przybiorą poszukiwania skarbu. Niewykluczone nawet, że wyjeżdża z Anglii, by wracać tu tylko od czasu do czasu. Potem następuje odkrycie na strychu, o czym Jonathan zostaje natychmiast poinformowany. Tak więc znowu musimy podejrzewać, że miał sprzymierzeńca w domu

Bartholomeusa. Jonathan, ze swoją drewnianą nogą, absolutnie nie jest w stanie dostać się do pokoju Bartholomeusa Sholto. Ma jednak ze sobą niezwyklego pomocnika, który potrafi wprawdzie pokonać tę trudność, ale bosą stopą włazi w kreozot. Potem zjawia się Toby, a z nim sześciomilowy spacer dla biednego doktora o nadwerżonym ścięgnie Achillesa...

— Ale to ten pomocnik, nie sam Jonathan, popełnił zbrodnię?

— Oczywiście. I raczej wbrew zamiarom Jonathana, sądząc z tego, jak tupał protezą przekonawszy się o zbrodni. Nie żywił żadnej nienawiści do Bartholomeusa Sholto i wolałby go tylko związać i zakneblować. Nie chciał kłaść głowy pod stryczek. Nie mógł jednak nic poradzić — dzikie instynkty zbudziły się w duszy jego towarzysza, a trucizna zrobiła swoje. Jonathan więc zostawił swą wizytówkę, spuścił szkatułkę na ziemię i sam zsunął się za nią. Tak rozwijały się wydarzenia, o ile potrafię je odcyfrować. Jeżeli chodzi o jego powierzchowność, musi to być człowiek w średnim wieku i mocno opalony, zważywszy, że odbywał karę w takim piecu jak Wyspy Andamańskie. Wzrost jego da się łatwo obliczyć po długości kroku i wiemy, że nosi brodę. Jedyne, co rzuciło się w oczy Thaddeusowi Sholto, gdy ujrzał twarz za oknem — to właśnie zarost. I to już chyba wszystko.

— A jego pomocnik?

— Ach, ten... Niewiele tu tajemniczego. Zresztą, sam się wkrótce przekonasz. Jakie przyjemne jest to poranne powietrze! Popatrz, jak płynie ta mała chmurka, zupełnie przypomina różowe piórko jakiegoś olbrzymiego flaminga. Oto czerwony rąbek słońca ukazuje się nad Londynem! Świeci nad mnóstwem ludzi, nikt jednak nie odbywa chyba tak dziwnej wycieczki jak my w tej chwili. Jacyż mali się czujemy, i my, i nasze marne ambicijki i dążenia, wobec żywiołowych sił Natury! Ale... jak się posuwa twoja praca nad Jean Paulem?

— Nienajgorzej. Dobrnąłem do niego przez Carlyle'a.

— To tak, jak by ktoś szedł w górę strumyka aż do jeziora, z którego wypływa. Uczynił on jednak dziwną, lecz bardzo głęboką uwagę, a mianowicie, że najlepszym dowodem prawdziwej wielkości człowieka jest przeświadczenie o własnej małości. Dowodzi to, widzisz, siły jego porównań i oceny, co już samo w sobie jest dowodem szlachetności. Można znaleźć wiele materiału do myślenia u Richtera. Czy nie masz przypadkiem pistoletu?

— Mam tylko laskę.

— Może nam się coś takiego przydać, kiedy odszukamy ich kryjówkę. Jonathana pozostawię tobie, ale jeżeli ten drugi zacznie się stawiać, zastrzelę go jak psa.

Mówiąc to, wyjął rewolwer i nabiwszy go, schował z powrotem do prawej kieszeni marynarki.

Cały czas podążaliśmy śladami Toby ego, który prowadził nas ku stolicy podmiejskimi drogami, wśród will i ogrodów. Obecnie jednak zaczęliśmy się zbliżać do gęsto zabudowanych ulic, gdzie widać już było robotników i dokerów, a zaniedbane kobiety zdejmowały okiennice i czyściły schody. W narożnych jadalniach zaczynało się dopiero budzić życie — wychodzili z nich ordynarnie wyglądający mężczyźni, wycierali rękawami brody po rannej szklaneczce. Jakieś dziwne psy włóczyły się tu i ówdzie i przypatrywały nam ze zdziwieniem, ale nasz nieporównany Toby nie oglądał się ani w prawo, ani w lewo, lecz dreptał naprzód z nosem przy ziemi i od czasu do czasu przejmująco skomlał, co dowodziło, że ślad jest jeszcze gorący.

Przeszliśmy Streatham, Brixton, Camberwell i przedostawszy się bocznymi uliczkami na wschód od Owalu znaleźliśmy się na Kennington Lane. Ci, których tropiliśmy, wybrali najwidoczniej tę zygzakowaną drogę, aby zmylić pogoń. Nigdy nie szli główną ulicą, jeżeli jakaś boczna prowadziła też w pożądanym kierunku. Przy końcu Kennington Lane skierowali się na lewo przez Bond Street i Miles Street. W miejscu, gdzie Miles Street skręca w Knight's Place, Toby się zatrzymał, ruszył kawałek z powrotem, a potem znów naprzód, z jednym uchem opuszczonym, drugim zaś sterczącym w górę — typowy obraz psiego niezdecydowania.

Następnie zaczął biegać w kółko, spoglądając od czasu do czasu na nas, jak gdyby dopraszał się współczucia w swych kłopotach.

— Co u diabła z tym psem? — mruknął Holmes. — Przecież nie wskoczyli do dorożki ani nie wsiedli do balonu.

— Może stali tutaj jakiś czas — wtrąciłem.

— A... w porządku... Biegnie dalej — rzekł mój towarzysz z ulgą.

Rzeczywiście, pies zaczął węszyć dokoła, powziął nagłą decyzję i skoczył naprzód z wielką energią i zdecydowaniem, jakiego poprzednio nie okazywał. Ślad był widać znacznie świeższy niż poprzednio, bo Toby wcale nie trzymał nosa przy ziemi, tylko szarpał linkę i próbował biec. Z błysku w oczach Holmesa wywnioskowałem, że zbliżamy się do kresu wędrówki. Droga wiodła teraz w dół Nine Elms, dopóki nie znaleźliśmy się na placu przed tartakiem Brodericka i Nelsona, tuż za tawerną pod „Białym Sokołem”. Tutaj pies, oszalały z podniecenia, skręcił w boczną bramę wiodącą na podwórze, gdzie tracze byli już przy pracy; biegł przez trociny i wióry wzdłuż ścieżki, potem przejściem między dwoma sagami drzewa, aż wreszcie, szczekając triumfalnie, skoczył na wielką beczkę, stojącą na ręcznym wózku, na którym ją tu widać świeżo przywieziono. Z wywieszonym językiem, błyskając dokoła ślepiami, Toby stał przy beczce i patrzył na nas, w oczekiwaniu pochwały. Beczka i koła wózka umazane były ciemną cieczą, a powietrze przepełniała woń kreozotu.

Sherlock Holmes i ja patrzyliśmy na siebie w osłupieniu, a potem równocześnie wybuchnęliśmy niepohamowanym śmiechem.

## VIII.

### POLICJA POMOCNICZA Z BAKER STREET

No i co teraz? — spytałem. — Tobi stracił opinię nieomylnego.

— Postąpił tak, jak mu dyktował rozsądek — rzekł Holmes zdejmując psa z beczki, aby go wyprowadzić z podwórza tartaku. — Jeżeli sobie uprzytomnimy, ile kreozotu przewozi się dziennie przez Londyn, to nic dziwnego, że nasz trop skrzyżował się z innymi. Kreozot jest obecnie bardzo rozpowszechniony, zwłaszcza przy impregnacji drzewa. Biedny Tobi nic tu nie zawinił.

— Przypuszczam, że musimy dojść z powrotem do pierwotnego tropu.

— Tak. Na szczęście nie odeszliśmy zbyt daleko. To, co wprowadziło psa w rozterkę przy Knight's Place, to były najwidoczniej dwa różne tropy, rozchodzące się w przeciwnych kierunkach. My poszliśmy, niestety, fałszywym. Nie pozostaje nam teraz nic innego, jak odszukać właściwy.

Nie nastęczało to wielkich trudności. Gdy doprowadziliśmy psa do miejsca, gdzie się pomylił, zaczął znów biegać wokoło, aż wreszcie rzucił się w innym kierunku.

— Musimy teraz uważać, żeby nas nie zaprowadził do miejsca, skąd pochodzi ta beczka kreozotu — rzekłem.

— Myślałem już o tym. Widzisz jednak, że prowadzi nas chodnikiem, a beczkę wieziono jezdnią. Nie, teraz na pewno jesteśmy na dobrym tropie.

Wiódł on w dół, ku wybrzeżu, przez Belmont Place i Prince's Street. Przy końcu Broad Street ślad biegł prosto w dół, nad skraj wody, gdzie stała niewielka drewniana przystań. Tobi podprowadził nas do samego budynku i zatrzymał się, skomlać, wpatrzony w ciemny nurt.

— Szczęście nam nie sprzyja — rzekł Holmes — tutaj wsiedli do łodzi.

Na wodzie, w pobliżu przystani, kołysało się kilka łódek. Podprowadzaliśmy psa kolejno do nich, ale chociaż węszył długo i starannie, żywiej nie reagował.

Tuż przy prymitywnym pomoście stał mały domek z cegły. Z okna wywieszona była drewniana tabliczka z nazwiskiem „Mardocheusz Smith” wypisanym dużymi, drukowanymi literami, a poniżej „Łodzie do wynajęcia na godzinę lub dzień”. Drugi napis, umieszczony nad drzwiami, poinformował nas, że na przystani jest także motorówka, co zresztą potwierdzała duża przyzma koks tuż nad wodą. Sherlock Holmes rozejrzał się powoli dokoła, a jego twarz przybrała wyraz niepokoju.

— To brzydko wygląda — rzekł. — Te typki są sprytniejsze, niż się spodziewałem. Najwidoczniej zatarli ślady.

Gdy podszedł do domu, drzwi otworzyły się nagle i ukazał się kędzierzawy, sześćioletni może chłopczyk, a tuż za nim tęga, rumiana kobieta z dużą gąbką w ręku.

— Zaraz wracaj, Jack, muszę cię umyć! — krzyknęła. — Wracaj, ty łobuzie. Bo jak wróci tatuś i zobaczy takiego brudasa, to popamiętasz...

— Kochane maleństwo — wykrzyknął Holmes podstępnie. — Cóż to za miły urwis z różową buzią... No, Jack, powiedz, co byś chciał?

Chłopczyk zastanawiał się chwilę.

— Chciałbym mieć szylinga — oznajmił.

— A co byś chciał jeszcze bardziej?

— Jeszcze bardziej to chciałbym mieć dwa szylingi! — odpowiedziało cudowne dziecko po namyśle.

— O, masz tu! Łap! Śliczne dziecko, droga pani Smith.

— Bóg zapłać za dobre słowo, to prawda, co pan mówi. Ale mam z nim strasznie dużo roboty, zwłaszcza kiedy mojego męża całymi dniami nie ma w domu.

— Nie ma go w domu? — wykrzyknął z rozczarowaniem Holmes. — Bardzo mnie to martwi, bo chciałem z nim porozmawiać.

— Nie ma go już od wczoraj rano, proszę pana, i mówiąc prawdę zaczynam być o niego niespokojna. Ale jeżeli chodzi o łódź, to i ja mogę go zastąpić.

— Chciałbym wynająć jego motorówkę.

— O, co za szkoda, bo mąż nią akurat popłynął. I to mnie właśnie zastanawia, bo przecież wiem, że zapas węgla wystarczyć mógł tylko do Woolwich i z powrotem. Gdyby popłynął łodzią, nic bym nie mówiła, bo bardzo często się zdarza, że musi jechać aż do Gravesend, a jeżeli ma tam dużo roboty, to zostaje nawet i dłużej. Ale na co może mu się przydać motorówka, jeżeli nie ma węgla?

— Mógł dokupić na przystani, w dole rzeki.

— Owszem, mógł, proszę pana, ale to nie jego zwyczaj; zawsze wyrzeka na ceny, jakie liczą za głupie kilka worków. A poza tym nie podobał mi się ten człowiek z drewnianą nogą. Paskudna twarz i tak jakoś z cudzoziemska mówi. Po co się tutaj szwenda?

— Człowiek z drewnianą nogą? — spytał zdumiony Holmes.

— Tak, proszę pana, taki opalony, z małpią twarzą, on już kilka razy był tutaj i pytał o mojego starego. To on właśnie obudził męża wczoraj w nocy, ale widocznie mąż się go spodziewał, bo trzymał łódź pod parą. Przyznam panu otwarcie, że bardzo mi się to wszystko nie podoba.

— Ależ, droga pani Smith — powiedział Holmes wruszając ramionami — nie ma pani żadnego powodu do niepokoju. Zresztą, skąd może pani wiedzieć, że to właśnie ten człowiek z drewnianą nogą był tutaj w nocy? Zupełnie nie rozumiem, skąd ma pani tę pewność?

— Po głosie, proszę pana. Zapamiętałam jego głos, gruby i zachrypnięty. Zastukał do okna, mogła być jakaś trzecia. „Wstawaj, bracie — powiedział — już czas”. Mój stary obudził Jima, to mój najstarszy syn, i wyszli obaj, nie powiedziawszy do mnie ani słowa. Słyszałam, jak drewniana noga stuknęła po kamieniach.

— A czy ten człowiek był sam?

— Nie mogę panu na to odpowiedzieć, proszę pana. Nie słyszałam nikogo więcej.

— Bardzo żałuję, droga pani Smith, bo potrzebuję motorówki, a słyszałem wiele dobrego o tej... no, jakże to ona się nazywa?

— „Aurora”, proszę pana.

— Aha, właśnie. Ale to chyba nie ta stara zielona łódź z żółtym pasem, taka bardzo szeroka w dole.

— Nie, nie. To najładniejsza motorówka na rzece. Ledwo co pomalowana na czarno, z dwoma czerwonymi pasami.

— Bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że pan Smith niedługo da znać o sobie. Udaję się w dół rzeki i jak bym natrafił na „Aurorę”, nie omieszkam zawiadomić męża, że się pani niepokoi. Mówiła pani, że „Aurora” ma czarny komin?

— Nie, nie całkiem czarny, z białym pasem!

— Ach, oczywiście. To boki miała czarne. Do widzenia pani, moja pani Smith. O, tam stoi człowiek, który ma łódź, Watsonie. Weźmiemy ją i przepłyniemy na drugą stronę.

— Najważniejszą rzeczą w rozmowie z takimi ludźmi — powiedział Holmes, gdy zasiedliśmy już w łodzi — jest nie dać im poznać, że informacje od nich otrzymane posiadają najmniejsze znaczenie. W przeciwnym bowiem razie zamkną się od razu w sobie jak ostryga. A jeżeli udasz, że słuchasz tylko z musu, to najprawdopodobniej dowiesz się, czegoś chciał.

— Wydaje mi się, że mamy teraz drogę wyraźnie wytkniętą — powiedziałem.

— Co byś więc zamierzał uczynić?

— Wynająłbym inną motorówkę i popłynął w dół rzeki śladem „Aurory”.

— Drogi chłopcze, to byłoby kolosalne zadanie. „Aurora” mogła się zatrzymać w każdej przystani po obydwu stronach rzeki stąd po Greenwich. Tam, poniżej mostu, dosłownie milami, ciągnie się cały ich labirynt. Gdybyś się sam tego podjął, szukanie zajęłoby ci tygodnie i miesiące.

— A więc należałoby wezwać do pomocy policję.

— Nie. Na samo zakończenie wezwę oczywiście Jonesa. To niezły chłop i przykro by mi było zrobić coś, co mogłoby go zdyskredytować zawodowo. Skoro jednak zabrnęliśmy tak daleko, chcę rozgryźć tę zagadkę sam.

— Czy nie byłoby dobrze dać ogłoszenie do wszystkich przystaniowych z prośbą o nadesłanie informacji?

— Coraz gorzej... Nasi przeciwnicy od razu by się dowiedzieli, że depczemy im po piętach, i opuściliby Anglię. I tak mogą drapnąć, ale dopóki czują się zupełnie bezpieczni, nie będą się spieszyć. I tu właśnie energia Jonesa będzie nam pomocna, bo jego opinia o sprawcach tragedii z pewnością znajdzie wyraz w prasie i uciekinierzy będą pewni, że podejrzenia idą w innym kierunku.

— Co więc teraz robimy? — spytałem, gdy wylądowaliśmy w pobliżu więzienia Millbank.

— Wsiądziemy w tę dorożkę, pojedziemy do domu, zjemy śniadanie i prześpiemy się godzinę. Wszystko wskazuje na to, że czeka nas znowu bezsenna noc. Stańcie na chwilę przed urzędem pocztowym — zwrócił się do woźnicy. — Zatrzymamy Toby’ego, bo może nam być jeszcze potrzebny.

Staaliśmy przed pocztą przy Great Peter Street i Holmes nadał jakąś depezę.

— Jak ci się zdaje, do kogo telegrafowałem? — spytał, gdy ruszyliśmy.

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Czy pamiętasz ten oddział policji ochotniczej z Baker Street, który wzywałem do pomocy w sprawie Jeffersona Hope?

— No więc? — zapytałem ze śmiechem.

— W tej sprawie także ich pomoc może być nieoceniona. Jeżeli zawiodą, mam jeszcze inne sposoby. Najpierw jednak spróbuję, co oni potrafią. Depesza była do mojego małego brudasa, porucznika Wigginsa, i spodziewam się, że on sam i jego banda zjawią się u nas, zanim skończymy śniadanie.

Dochodziła już dziewiąta i czułem, że po pełnej wrażeń nocy zaczyna się reakcja. Byłem znużony i wyczerpany, zarówno fizycznie, jak umysłowo. Brakło mi zawodowego zainteresowania, które podtrzymywało mego towarzysza, nie mogłem też uważać tej sprawy jedynie za abstrakcyjny problem intelektualny. Jeżeli idzie o śmierć Bartholomeusa Sholto, to słyszałem o nim tak mało dobrego, że nie mogłem czuć specjalnej antypatii do jego zabójców. Co innego ze skarbem.

Cały lub w części należał się bezspornie pannie Morstan i jeżeli istniała jakakolwiek szansa odnalezienia go, gotów byłem poświęcić temu życie. Co prawda, gdybyśmy go odnaleźli, panna Morstan najprawdopodobniej musiałaby bezpowrotnie zniknąć z mego życia. Jakże marna i egoistyczna byłaby jednak miłość, która by się kierowała podobnymi przesłankami! Jeżeli Holmes zajmuje się tą sprawą, by wykryć zbrodniarzy, to ja mam stokroć ważniejszy powód, by szukać skarbu.

W domu kąpiel i przebranie się od stóp do głów niesłychanie mnie odświeżyły. Zszedłszy na dół zastałem śniadanie na stole i Holmesa nalewającego kawę.



— Oto masz — rzekł wskazując ze śmiechem na rozłożoną poranną gazetę. — Energiczny Jones i wszechobecny reporter już załatwili sprawę między sobą. Ale pewno masz chwilowo dość całej tej afery, zajmij się raczej szynką i jajecznicą.

Wzięłem z jego rąk gazetę i przeczytałem krótką wzmiankę zatytułowaną: „Tajemnicza afera w Upper Norwood”:

*Mniej więcej około północy — pisał „Standard” — w Pondicherry Lodge koło Upper Norwood znaleziono zwłoki pana Bartholomeusa Sholto w jego własnym pokoju, a okoliczności wskazują na to, że zachodzi podejrzenie morderstwa. Jak mogliśmy dotychczas stwierdzić, nie znaleziono na ciele nieboszczyka wyraźnych śladów zabójstwa, zniknęła jednak cenna kolekcja klejnotów indyjskich, które zmarły odziedziczył po ojcu. Pierwsi wykryli zabójstwo pan Sherlock Holmes i doktor Watson, którzy przyjechali do Pondicherry Lodge razem z bratem zmarłego. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znajdował się w tamtych stronach inspektor Athelney Jones, znakomity członek Scotland Yardu i w pół godziny po zaalarmowaniu policji był już na miejscu. Swe wypróbowane zdolności zwrócił natychmiast w kierunku wykrycia zbrodniarzy. Starania jego zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem. Brat zmarłego, Thaddeus Sholto, został już zaaresztowany, a prócz niego gospodyni, pani Bernstone, hinduski służący Lal Rao i portier, czy odźwierny, nazwiskiem McMurdo. Nie ulega wątpliwości, że złodziej lub złodzieje byli dobrze obeznani z terenem, ponieważ dzięki powszechnie znanym metodom śledczym inspektora Jonesa i dzięki jego niezwykle zmysłowi obserwacyjnemu udało się stwierdzić z całą pewnością, że złoczyńcy nie mogli wejść ani drzwiami, ani oknem, przedostali się natomiast na dach domu, następnie przez zapadnię do małego pokoiku, łączącego się bezpośrednio z pokojem, w którym znaleziono ciało. Fakt ten, stwierdzony z niezbitą pewnością, dowodzi, że nie mamy tu do czynienia z przypadkowym włamaniem. Szybka i energiczna akcja przedstawicieli prawa wykazuje, jak olbrzymie korzyści wynikają z obecności jednego chociażby człowieka o wielkiej energii i wybitnym umyśle. Trudno się powstrzymać od uwagi, iż daje to potężny atut do ręki tym, którzy pragnęliby naszą policję bardziej zdecentralizować, a tym samym dać jej możliwość bliższego i bardziej celowego zetknięcia się ze sprawami, których badanie jest jej obowiązkiem zawodowym.*

— Czyż to nie wspaniałe? — spytał Holmes śmiejąc się serdecznie nad filiżanką kawy. — Co o tym sądzisz?

— Myślę tylko, że dzięki niebywałemu szczęściu nie zostaliśmy także aresztowani jako sprawcy zbrodni.

— I ja tak sądzę. Ale nie dałbym trzech pensów za nasze bezpieczeństwo, gdyby Jones uległ powtórnemu atakowi energii.

W tej samej chwili rozległ się głośny dzwonek i usłyszałem, jak nasza gospodyni, pani Hudson, podniesionym głosem kłóci się z kimś w przedpokoju.

— Na miłość boską, Holmesie — powiedziałem wstając — zdaje mi się, że istotnie już po nas przyszli...

— Nie, nie jest jeszcze tak źle. To ochotnicza policja z Baker Street.

Ledwie skończył, na schodach rozległ się szybki tupot bosych nóg, hałas podniesionych głosów i do pokoju wpadł tuzin brudnych, obdartych małych uliczników. Była w tym jednak jakaś dyscyplina, bowiem mimo hałaśliwego wtargnięcia ustawili się natychmiast szeregiem i patrzyli na nas wyczekująco. Jeden z nich, wyższy i starszy od innych, wystąpił z szeregu z miną pełną godności, co było bardzo zabawne u takiego małego oberwańca.

— Dostałem pana zawiadomienie — powiedział — i natychmiast ich tu zwołałem. Koszty przejazdu: trzy szylingi i szóstak.

— Dobrze, masz tu — rzekł Holmes wyjmując z kieszeni trochę srebra. — Na przyszłość jednak niech się zgłoszą do ciebie, a potem ty do mnie. Nie chciałbym mieć w domu takiego najazdu, ale tym razem może lepiej, że wszyscy usłyszycie instrukcje. Otóż chciałbym się dowiedzieć o losach motorówki „Aurora”, której właścicielem jest Mardocheusz Smith. Czarna, z dwoma czerwonymi pasami, komin także czarny z białym pasem. Popłynęła obecnie gdzieś w dół rzeki. Chciałbym, żeby jeden z was miał na oku brzeg naprzeciwko Millbank, koło przystani Smitha, i stwierdził, czy łódź wróciła. Musicie podzielić się tak, aby obydwie brzegi były strzeżone. Dajcie mi znać natychmiast, gdy zdobędziecie jakieś wiadomości. Jasne?

— Tak jest, psze pana — odpowiedział Wiggins.

— Zapłata według dawnej stawki, a ten, kto odnajdzie motorówkę, dostanie gwineę. Tutaj macie zaliczkę za jeden dzień. A teraz odmarsz!

Wręczył każdemu z chłopców szylinga, po czym cała gromadka zbiegła z tupotem po schodach, a po chwili zobaczyłem ich na ulicy.

— Jeżeli tylko „Aurora” jest gdzieś na wodzie, to na pewno ją znajdą — rzekł Holmes wstając od stołu i zapalając fajkę. — Oni potrafią wcisnąć się wszędzie, wszystko zobaczyć, każdego podsłuchać. Przypuszczam, że już pod wieczór otrzymam od nich pomyślną wiadomość. Tymczasem nie pozostaje nam nic innego jak czekać. Nie możemy podejmować poszukiwań po dawnych śladach, zanim nie odnajdziemy „Aurory” albo pana Mardocheusza Smitha.

— Można by dać Toby’emu te okrawki — powiedziałem. — Czy położysz się teraz?

— Nie. Nie jestem zmęczony. Mam już takie dziwne usposobienie. Nie pamiętam, abym czuł się kiedyś zmęczony pracą, choć bezczynność bardzo mnie wyczerpuje. Będę sobie palić i rozmyślać nad tą dziwną sprawą, na którą nas naprowadziła nasza piękna klientka. Zadanie wygląda mi na całkiem proste. Nie często spotyka się ludzi o drewnianych nogach, a już ten drugi, to musi być, moim zdaniem, zupełny unikat.

— Znowu ten drugi człowiek!

— Nie zamierzam ukrywać przed tobą tego, co wiem o nim, ale musiałeś przecież sam wyrobić sobie o nim jakąś opinię. Zastanów się teraz nad danymi. Siady bosej nogi, stopa bardzo mała, palce świadczą o tym, że nigdy nie tkwiły w butach, drewniany młotek o kamiennej głowicy, wielka zręczność, małe zatrute strzałki. Co ci to wszystko mówi?

— Jakiś dzikus! — wykrzyknąłem. — Może jeden z owych Hindusów, którzy byli współnikami tego Jonathana?

— Raczej nie — rzekł. — Kiedy po raz pierwszy ujrzałem tę dziwną broń, sam byłem skłonny tak myśleć, ale te charakterystyczne ślady stóp skłoniły mnie do ponownego rozważenia sprawy. Niektórzy z mieszkańców Półwyspu Indyjskiego są niskiego wzrostu, żaden jednak nie mógł pozostawić takich śladów. Właściwy Hinduś ma długie i cienkie stopy. Mahometanina cechuje wielki palec wyraźnie oddzielony od innych, ponieważ tutaj przeważnie przechodzi rzemień sandałów. Te małe strzały także mogły być wystrzelone tylko jednym sposobem. Przez dmuchawkę. No, a teraz, czy możesz mi powiedzieć, gdzie mamy szukać naszego dzikusa?

— W Południowej Ameryce? — zaryzykowałem.

Wyciągnął rękę i zdjął z półki grube tomisko.

— Oto pierwszy tom słownika geograficznego wydawanego obecnie. Można go uważać za największy współczesny autorytet. Zobaczmy, co tu znajdziemy. „Andamańskie Wyspy położone 340 mil na północ od Sumatry, w Zatoce Bengalskiej”. Hm... hm... Czego tu nie ma? „Klimat wilgotny, rafy koralowe, rekiny, Port Blair, baraki zesłańców. Wyspa Rutland, drzewa bawełniane”. Aa... tutaj go mamy. „Mieszkańcy Wysp Andamańskich mogą pretendować do

nazwy najmniejszej rasy na ziemi, chociaż niektórzy antropologowie przeciwstawiają im afrykańskich buszmenów, Digger Indians z Ameryki i mieszkańców Ziemi Ognistej. Przeciętny ich wzrost wynosi poniżej czterech stóp, chociaż wielu dorosłych jest jeszcze mniejszych. Są to dzicy, posepni i uparci ludzie, chociaż zdolni do zawierania przyjaźni pełnej poświęcenia, skoro raz uda się zyskać ich zaufanie”. Zapamiętaj, Watsonie. A teraz posłuchaj dalej: „Powierzchności odrażającej, o dużej, niekształtnej głowie, małych, dzikich oczach i wykrzywionych rysach. Ich ręce i nogi są zadziwiająco małe. Charakter mają tak dziki i uparty, że zawiodły wszelkie usiłowania władz brytyjskich, by ich pozyskać. Stanowili zawsze postrach rozbitków, ponieważ rozłupywali ich czaszki kamiennymi toporkami lub strzelali do nich zatrutymi strzałami. Tego rodzaju masakra kończyła się zawsze uczą ludożerczą”. Nie ma co, Watsonie... przyjemni, kochani ludkowie. Gdyby temu typowi pozostawiono zupełną swobodą działania, ta historia mogłaby przyjąć jeszcze straszniejszy obrót. Wydaje mi się, że tak jak sprawy obecnie stoją, Jonathan Small dużo by dał za to, żeby się nim nie był posługiwał.

— Ale w jaki sposób zdobył on tego rodzaju kompana?

— Niestety, tego już nie mogę ci powiedzieć. Skoro jednak doszliśmy do przekonania, że Small przyjechał z Wysp Andamańskich, to nie ma nic specjalnie dziwnego w tym, że mieszkaniec tych wysp znalazł się w jego towarzystwie. Dowiemy się o wszystkim we właściwym czasie. A teraz, drogi Watsonie, powiem ci, że wyglądasz okropnie zmęczony. Połóż się tam na sofie, zobaczymy, czy potrafię cię uśpić.

Wyjął z futerału skrzypce i gdy wyciągnąłem się na sofie, zaczął grać jakąś cichą, pełną rozmarzenia melodię — przypuszczalnie własną kompozycję, posiadał bowiem niezwykle dar improwizacji. Przypominam sobie jak przez sen jego szczupłe dłonie, poważną twarz i wznoszenie się, i opadanie smyczka. Potem zdawało mi się, że płynę spokojnie po miękkim oceanie dźwięków, aż wreszcie znalazłem się w krainie marzeń, gdzie urocza twarzyczka panny Morstan pochylała się nade mną.

## IX. PRZERWANY ŁAŃCUCH

Kiedy się obudziłem, wypoczęty i odświeżony, było już późne popołudnie. Sherlock Holmes siedział na tym samym miejscu, z tą tylko różnicą, że odłożył skrzypce i pogrążył się w czytaniu. Teraz spojrział w moją stronę i zauważyłem, że twarz ma zachmurzoną i zakłopotaną.

— Spałeś mocno — powiedział — a obawiałem się, że nasza rozmowa może cię obudzić.

— Nic nie słyszałem. Czyżbyś miał jakieś świeże wiadomości?

— Niestety, nie. Jestem, przyznaję, zdziwiony i rozczarowany. Spodziewałem się, że o tej porze będę już wiedział coś konkretnego. Był tu niedawno Wiggins z raportem. Powiadają, że nie mogli trafić na ślad motorówki. To bardzo niedobrze, bo każda godzina jest droga.

— Czy mógłbym ci w czymś pomóc? Jestem już całkiem wypoczęty i gotów do nowej nocnej wycieczki.

— Nie, nic nie możemy na razie zrobić, tylko czekać. Jeżeli się oddalimy, wiadomość gotowa nadejść

w czasie naszej nieobecności i nastąpi zwłoka. Ty możesz sobie robić, co chcesz, ale ja muszę pozostać na straży.

— Pobiegnę zatem do Camberwell, do pani Forrester. Prosiła wczoraj, żeby do niej zajść.

— Do pani Forrester? — spytał Holmes z uśmiechem migocącym w oczach.

— No nie, oczywiście że i do panny Morstan także. Bardzo były ciekawe dalszych wypadków.

— Lepiej nie mówić im za wiele. — powiedział Holmes. — Nigdy nie należy całkowicie ufać kobietom, nawet najlepszym.

Nie zatrzymałem się, aby przedyskutować to okrutne twierdzenie.

— Wracam za godzinę albo dwie — zauważyłem tylko.

— Doskonale. Życzę powodzenia. Aha, jeżeli już wybierasz się na tamtą stronę rzeki, to odprowadź po drodze Toby'ego. Nie przypuszczam, żeby mógł nam być potrzebny.

Zabrałem więc kundla i wręczyłem go razem z pół suwerenem staremu zoologowi na Pinchin Lane. W Camberwell zastałem pannę Morstan trochę zmęczoną wydarzeniami ubiegłej nocy, ale bardzo ciekawą dalszego ciągu. Pani Forrester była także niesłychanie zaintrygowana. Opowiedziałem im wszystko, pomijając jedynie najstraszniejsze szczegóły. I tak na przykład, mówiąc o śmierci pana Sholto, nic nie wspomniałem o sposobie zabójstwa. Zresztą i tak cała historia zdumiała i przerażyła obie panie.

— Jakie to romantyczne — wykrzyknęła pani Forrester. — Pokrzywdzona dama, skarb półmilionowej wartości, czarny ludożerca i łotr o drewnianej nodze... Występują oni zamiast typowego smoka lub przewrotnego hrabiego.

— I jeszcze dwaj błędni rycerze spieszący z pomocą — dodała panna Morstan obrzucając mnie wzrokiem.

— Droga Mary, przecież twoja przyszłość zależy od wyniku poszukiwań. Uważam, że za mało jesteś tym przejęta. Pomyśl tylko, jak się musi czuć taki bogacz, który ma cały świat u stóp.

Poczułem lekki dreszcz radości zauważywszy, że nie okazała z tego powodu zbyt dużego wzruszenia. Przeciwnie, odrzuciła w tył głowę, jak gdyby ta sprawa mało ją interesowała.

— Niepokoję się tylko z powodu pana Thaddeusa Sholto — powiedziała — nic poza tym. Jestem zdania, że postąpił bardzo ładnie i honorowo. Obowiązkiem naszym jest oczyścić go z tego okropnego i nieuzasadnionego podejrzenia.

Nim wyszedłem z Camberwell, zrobił się już wieczór. Gdy dobiegłem do domu, było zupełnie ciemno. Książka i fajka mego towarzysza leżały przy jego krześle, on sam jednak znikł. Rozejrzałem się dokoła przypuszczając, że znajdę jakąś kartkę, ale nic dla mnie nie zostawił.

— Czy pan Holmes wyszedł? — zapytałem panią Hudson, gdy przyszła zapuścić rolety.

— Nie, proszę pana. Poszedł do swego pokoju. Czy pan wie, panie doktorze — powiedziała zniżywszy głos do przejmującego szeptu — że coś się boję o zdrowie pana Holmesa.

— Dlaczego?

— Bo jest jakiś taki dziwny, panie doktorze. Po pana wyjściu chodził i chodził po pokoju, aż sama się zmęczyłam słuchaniem jego kroków. Potem słyszałam, jak rozmawiał sam ze sobą i mruczał, a za każdym dzwonkiem wychodził aż do schodów i pytał mnie, co to takiego. Teraz poszedł do siebie, ale ciągle słyszę, jak chodzi po pokoju. Mam nadzieję, że się nie rozchoruje, panie doktorze. Odważyłam się wspomnieć coś o środku uspokajającym, ale odwrócił się i spojrzał na mnie takim wzrokiem, że sama nie wiem, jak się znalazłam za drzwiami.

— Nie przypuszczam, żeby pani miała powód do niepokoju — odpowiedziałem. — Nieraz już go takim widziałem. Jakaś sprawa widocznie tak go absorbuje, że jest zdenerwowany.

Staralem się mówić do naszej nieocenionej gospodyni lekkim tonem, w duchu jednak czułem się niespokojny, zwłaszcza że kilkakrotnie w ciągu nocy słyszałem głuchy odgłos jego kroków i rozumiałem, jak musi się zadręczać tą mimowolną bezczynnością.

Przy śniadaniu wyglądał mizernie, był zdenerwowany, a na policzkach miał gorączkowe wypieki.

— Wpędzasz się w chorobę, mój kochany — zauważyłem. — Słyszałem w nocy, jak chodziłeś tam i z powrotem.

— Nie mogłem zasnąć — odpowiedział. — Ten szatański problem zupełnie mnie zjada. To okropne, tak się potknąć na małej, głupiej przeszkodzie, kiedy się już przebrnęło przez tyle innych. Wiem, co trzeba, o ludziach, o łodzi, o wszystkim. A jednak nie ma żadnych wiadomości. Uruchomiłem prócz tych chłopców jeszcze inny wywiad i użyłem wszelkich rozporządzalnych środków. Cała rzeka została skrupulatnie przeszukana po obu stronach, ale daremnie, żadnych wiadomości, a pani Smith dotychczas nic nie wie o mężu. Dochodzę już do przekonania, że chyba zatopili łódź, chociaż nasuwałyby się tu pewne obiekcje.

— Albo że pani Smith naprowadziła nas na fałszywy ślad.

— Nie, to podejrzenie możemy od razu odrzucić. Zasięgałem informacji i okazuje się, że motorówka odpowiadająca jej opisowi rzeczywiście istnieje.

— A czy nie mogli popłynąć w górę rzeki? — zapytałem.

— Nad tą możliwością zastanawiałem się także i zorganizowałem poszukiwania aż do Richmond. Jeżeli w ciągu dzisiejszego dnia nie nadejdą jakieś konkretne wiadomości, sam zacznę od jutra szukać — i to raczej ludzi niż łodzi. Ale nie tracę nadziei, że czegoś się dowiemy.

Tak się jednak nie stało. Ani Wiggins, ani nikt inny nie odezwał się słówkiem. Prawie we wszystkich gazetach pojawiły się opisy tragedii w Norwood. Ton ich był raczej niekorzystny dla Thaddeusa Sholto, lecz w żadnej nie znaleźliśmy nowych szczegółów poza wzmianką, że następnego dnia odbędzie się przesłuchanie u koronera. Udałem się znowu do Camberwell, aby powiedzieć paniom o naszym niepowodzeniu, a po powrocie zastałem Holmesa w ponurym nastroju. Ledwie odpowiadał na pytania i cały wieczór przeprowadzał jakąś tajemniczą analizę chemiczną, wymagającą podgrzewania retort i destylacji pary, a dającą w efekcie taki odór, że musiałem wyjść z pokoju. Nocą też słyszałem, jak pobrzękiwał probówkami i przeprowadzał swoje złe woniejące eksperymenty.

O świcie obudziłem się raptownie i ze zdziwieniem zobaczyłem, że stoi przy moim łóżku w prostym marynarskim ubraniu i czerwonym szaliku na szyi.

— Udaję się w dół rzeki, Watsonie — powiedział. — Przemyslałem wszystko głęboko i widzę tylko jeden sposób działania. Tak czy owak, warto spróbować.

— Pozwolisz chyba, żebym ci towarzyszył — zapytałem.

— Nie. Będziesz mi o wiele bardziej pomocny, jeżeli zostaniesz tutaj w moim zastępstwie. Bardzo nierad wyjeżdżam, bo jestem prawie pewien, że w ciągu dnia nadejdzie jakaś wiadomość, chociaż Wiggins wątpił o tym wczoraj wieczorem. Otwieraj, proszę, wszelkie telegramy czy listy, jakie tylko nadejdą, i postąp tak, jak będziesz uważał za stosowne. Czy mogę na tobie polegać?

— Z całą pewnością.

— Obawiam się, że trudno ci będzie skomunikować się ze mną telegraficznie, bo sam jeszcze nie wiem, gdzie będę. Jeżeli jednak mi się poszczęści, nieobecność moja nie potrwa zbyt długo. Przed powrotem tutaj będę na pewno coś wiedział.

Do śniadania nie miałem od niego wiadomości. Przeglądając jednak gazetę, znalazłem nową wzmiankę o sprawie:

*Nawiązując do tragedii w Upper Norwood mamy wszelkie podstawy przypuszczać, że sprawa jest jeszcze bardziej zawikłana i tajemnicza, aniżeliśmy przypuszczali początkowo. Ostatnie dane wskazują, iż jest rzeczą zupełnie niemożliwą, aby pan Thaddeus Sholto mógł być w jakiegokolwiek mierze zamieszany w morderstwo. Zarówno on, jak i gospodyni, pani Bernstone, zostali zwolnieni wczoraj wieczorem. Podobno jednak policja jest na tropie prawdziwych przestępców. Inspektor Jones ze Scotland Yardu z właściwą sobie energią i wnikliwością prowadzi śledztwo dalej. Każdej chwili można oczekiwać nowych aresztowań.*

Jak dotąd wszystko bardzo pięknie — pomyślałem. — Nasz przyjaciel Sholto jest bądź co bądź wolny. Ogromnie jestem ciekaw, co to mogą być za nowe poszlaki, chociaż z drugiej strony wydaje mi się, że to taka stereotypowa forma używana zawsze, ilekroć policja palnie byka.

Rzuciłem gazetę na stół i w tejże chwili wzrok mój padł na ogłoszenie w rubryce „poszukiwane”. Brzmiało ono, jak następuje:

*Zaginął Mardocheusz Smith, przewoźnik, wraz z synem Jimem. Opuścili przystań Smitha około trzeciej rano w ubiegły wtorek na motorówce „Aurora”, czarnej, z dwoma czerwonymi pasami. Komin czarny z białym szlakiem. Każdemu, kto udzieli informacji o zaginionych i o „Aurorze” pani Smith, w przystani Smith lub przy ul. Baker Street 221b — wypłacona zostanie nagroda w wysokości pięciu funtów.*

Było to niezawodnie dzieło Holmesa. Już sam adres Baker Street na to wskazywał. Ogłoszenie było ułożone, moim zdaniem, bardzo dowcipnie, bo nawet gdyby je przeczytali zbiegowie, nie dopatrzyliby się w nim niczego poza zrozumiałym niepokojem żony o zaginionego małżonka.

Dzień włókł się bez końca. Za każdym pukaniem do drzwi lub szybkimi krokami na ulicy wyobrażałem sobie, że to albo powracający Holmes, albo odpowiedź na ogłoszenie. Usiłowałem czytać, ale myśli moje biegły ustawicznie ku naszej niezwyklej przygodzie i dziwnie dobranej, zbrodniczej parze, której poszukiwaliśmy. Zastanawiałem się głęboko, czy mogła być jakaś zasadnicza luka w rozumowaniu mojego przyjaciela. Czy nie pomylił się poważnie w jakimś punkcie? Czy możliwe, aby jego przenikliwy i giętki umysł zbudował całą tę teorię na fałszywych przesłankach? Nie pamiętam, aby mu się to kiedykolwiek zdarzyło, ale nawet najbystrzejszy umysł może niekiedy pobłądzić. Mógł dać się uwieść swej przerafinowanej logice, swemu zamiłowaniu do szukania subtelnych i wymyślnych dróg, kiedy prostsza i jaśniejsza była

tuż pod ręką. Z drugiej strony jednak widziałem na własne oczy wszystkie dowody i słuchałem jego dedukcji. Gdy spoglądałem wstecz na długi łańcuch dziwnych okoliczności — niektóre z nich były co prawda dość pospolite, ale wszystkie zmierzały w tym samym kierunku — nie mogłem ukryć sam przed sobą, że gdyby nawet koncepcja Holmesa była fałszywa, to wyjaśnienie musi być równie niezwykle i zadziwiające.

O trzeciej po obiedzie rozległ się ostry dzwonek, potem rozkazujący głos w hallu i ku mojemu zdziwieniu do pokoju wkroczył nie kto inny jak sam pan inspektor Athelney Jones. Nikt by jednak nie poznał w nim władczego i szorstkiego mentora zdrowego rozsądku, który z taką pewnością siebie przejął w swe ręce sprawę w Upper Norwood. Miał minę przygnębioną, a zachowywał się niepewnie i tak, jak by się chciał usprawiedliwić.

— Dzień dobry panu, dzień dobry — powiedział. — Podobno pana Sherlocka Holmesa nie ma w domu?

— Tak, i zupełnie nie wiem, kiedy się go można spodziewać. Może pan jednak zechce poczekać? Proszę usiąść i zapalić, tu są cygara.

— Dziękuję... bardzo dziękuję, jakoś nie mam ochoty.

— No, a whisky z wodą sodową?

— Niech będzie... pół szklaneczki. Jest gorąco jak na tę porę roku, a do tego jeszcze mnóstwo kłopotów na głowie. Pan pamięta, jaką teorię zbudowałem w tej sprawie w Norwood?

— Przypominam sobie, że miał pan pewną teorię.

— Musiałem ją jednak zrewidować. Zacisnąłem się bardzo mocno dokoła osoby Thaddeusa Sholto, a tymczasem, masz ci los! wymknął się przez dziurę, i to w samym jej środku. Zdołał się wykazać niezbitym alibi. Odkąd wyszedł z pokoju brata, zawsze go ktoś widział, nie mógł więc absolutnie czołgać się po dachach i włączyć przez zapadnię. To bardzo ciemna sprawa i gra idzie teraz o mój honor zawodowy. Byłbym bardzo zobowiązany za każdą pomoc w tym kierunku.

— Wszyscy potrzebujemy od czasu do czasu pomocy — wtrąciłem.

— Pański przyjaciel, pan Sherlock Holmes, to doprawdy niezwykle człowiek — ciągnął zniżając poufale głos. — To człowiek, którego nie można zwyciężyć. Widziałem tego młodzieńca wielokrotnie przy pracy i zawsze udało mu się rzucić światło na każdą sprawę. Jest może trochę nieporządny w swych metodach pracy i może zbyt prędko buduje teorie: na ogół jednak twierdzą, że byłby z niego doskonały zawodowiec, i nie ukrywam się z moim zdaniem. Dzisiaj rano otrzymałem od niego depezę, z której wnioskuję, że ma jakieś nowe poszlaki w sprawie Sholto. Oto ona.

Wyjął z kieszeni depezę i podał mi do przeczytania. Datowana była o godz. 12 z Poplar.

*Niech się pan uda natychmiast na Baker Street — brzmiał tekst — gdyby mnie tam jeszcze nie było, proszę zaczekać. Jestem na tropie bandy Sholto. Jeżeli pan chce być świadkiem finiszu, może pan wybrać się z nami dziś wieczorem.*

— To brzmi bardzo zachęcająco. Najwidoczniej wpadł na jakiś nowy ślad — rzekłem.

— Ach, więc i on się omylił — wykrzyknął Jones z widocznym zadowoleniem. — Nawet najlepszym spośród nas się to zdarza. Oczywiście, może się to okazać fałszywym alarmem, lecz jako przedstawicielowi prawa nie wolno mi pominąć okazji. Ale ktoś wszedł do domu. Może on. Rzeczywiście słychać było na schodach czyjeś ciężkie kroki, sapanie i świsty. Raz czy dwa przybysz zatrzymał się, jak gdyby zbyt trudno było mu wspinać się dalej, w końcu jednak dobrnął do drzwi i wszedł. Wygląd jego odpowiadał wrażeniu, jakie wywołało na nas to uciążliwe wspinanie się po schodach. Był człowiekiem już niemłodym, odzianym po marynarsku w kurtę zapiętą pod samą brodę. Plecy miał zgięte, kolana mu drżały, a oddech wydobywał się z

piersi astmatycznie. Wspierał się na grubej dębowej lasce, a ramiona podnosiły się i opadały przy oddechu. Na szyi miał czerwony szalik. Twarzy okolonej siwymi bokobrodami nie było prawie widać, poza parą bystrych ciemnych oczu, nad którymi zwisały krzaczaste białe brwi. Wyglądał na uczciwego marynarza, którego wiek i bieda doprowadziły do takiego stanu.

— Czego chcecie, dobry człowieku? — zapytałem. Rozejrzał się dokoła powoli i systematycznie, jak to zwykle robią ludzie starsi.

— Czy jest pan Sherlock Holmes? — spytał.

— Nie, ale ja go zastępuję. Możecie mi powiedzieć wszystko, co byście chcieli powiedzieć jemu samemu.

— Mogę to powiedzieć tylko jemu.

— Ale mówię wam przecież, że go zastępuję. Czy chodzi o łódź Mardocheusza Smitha?

— A właśnie. Wiem dobrze, gdzie ona jest. I gdzie są ci ludzie, co to on ich szuka. O skarbie wiem także. O wszystkim wiem dokładnie.

— Proszę więc opowiedzieć mi wszystko, a już ja jemu powtórzę.

— Nie, tylko jemu samemu mogę to powiedzieć — powtórzył ze starym uporem.

— Jeżeli tak, to musi pan na niego poczekać.

— Nie, nie... Nie będę tracił całego dnia dla czyjejś przyjemności. Jeżeli pana Holmesa nie ma, to się pan Holmes musi sam wszystkiego dowiedzieć. Nie podobacie mi się obydwaj i nie powiem wam ani słowa.

Skierował się ku drzwiom, ale Jones zastąpił mu drogę.

— Zaczekaj no chwileczkę, mój przyjacielu — rzekł. — Masz pan ważne informacje, więc niemożliwe, byś tak sobie po prostu odchodził. Zatrzymamy tu pana, z wolą czy bez woli, aż do powrotu pana Holmesa.

Starzec usiłował podbiec do drzwi, ale gdy szerokie plecy Jonesa zamknęły mu drogę, zrozumiał, że jest bezsilny.

— Ładnie człowieka traktują! — wykrzyknął stukając kijem o podłogę. — Przychodzę tutaj, żeby się zobaczyć z pewnym dżentelmenem, a wy obaj, których na oczy nie widziałem, chwyacie mnie i tak traktujecie...

— Nic się wam nie stanie — wtrąciłem. — Wynagrodzimy was uczciwie za stracony czas. Proszę sobie sięść tam na sofie. To na pewno nie potrwa długo.

Przeszedł nachmurzony przez pokój i usiadł, oparłszy głowę na rękach. Ja i Jones, paląc cygara, prowadziliśmy dalej rozmowę. Nagle rozległ się tuż za nami głos Holmesa:

— Może byście i mnie poczęstowali cygarem? Skoczyliśmy obaj na równe nogi. Holmes siedział przy nas z wielce rozbawioną i zadowoloną miną.

— Holmes! — zawołałem. — Ty tutaj! Ale gdzież jest ten staruszek?

— Tutaj macie swego staruszka — odpowiedział podnosząc w górę pęk siwych włosów. — Oto on: peruka, bokobrody, brwi... i tyle. Wiedziałem, że moje przebranie jest niezłe, nigdy jednak nie myślałem, że wytrzyma aż taką próbę...

— Ależ psotnik z pana! — wykrzyknął zachwycony Jones. — Byłby z pana wyśmienity aktor. Kaszle pan zupełnie jak prawdziwy starowina z przytułku, a te słabe, uginające się nogi warte są dziesięć funtów tygodniowo. Zdaje mi się jednak, że rozpoznałbym pana po błysku w oczach... Nie uszedłby nam pan daleko, o nie...

— Pracowałem w tym przebraniu cały dzień — powiedział Holmes zapalając cygaro. — Widzicie, już wielu przestępców mnie rozpoznaje, zwłaszcza od chwili, kiedy obecny tutaj nasz przyjaciel zaczął publikować niektóre moje sprawy. Mogłem zatem wkroczyć na ścieżkę wojenną jedynie w jakimś prostym przebraniu jak to na przykład. Dostał pan mój telegram?

— Dostałem i właśnie dlatego tu jestem.



— Jak postępuje śledztwo?

— Nic z tego nie wyszło. Musiałem zwolnić dwoje więźniów, a przeciw dwóm pozostałym też nie mam dostatecznych dowodów.

— Nic nie szkodzi. Damy panu na ich miejsce dwu innych. Musi się pan jednak poddać moim rozkazom. Cały splendor z rozwiązania zagadki przypadnie panu, ale musi pan postępować w myśl moich wskazówek. Zgoda?

— Całkowita, jeżeli mi pan dopomoże w ujęciu tych ludzi.

— No więc dobrze. Przede wszystkim będę potrzebował szybkiej policyjnej łodzi, motorówki. Ma być o godzinie siódmej przy schodach westminsterskich.

— To się łatwo da zrobić. Stoi tam zawsze łódź policyjna, dla pewności jednak mogę jeszcze pójść i zatelefonować.

— Następnie będę potrzebował dwóch dzielnych ludzi, w wypadku gdybyśmy natrafili na opór.

— W łodzi będzie ich dwóch lub trzech. I co jeszcze?

— Gdy już ujmemy tych ludzi, dostaniemy i skarb. Przypuszczam, że będzie wielką przyjemnością dla mego przyjaciela zanieść szkatułkę do pewnej damy, której połowa skarbu się słusznie należy. Niech ona pierwsza otworzy szkatułkę. Co, Watsonie?

— Tak, to by mi sprawiło naprawdę wielką przyjemność.

— To właśnie bardzo się sprzeciwia przepisom — rzekł Jones, potrząsając głową. — Ponieważ jednak cała sprawa idzie niezupełnie wedle przepisów, musimy na to i na owo przymknąć oczy. Skarb musi być jednak przekazany potem władzom, aż do chwili zakończenia oficjalnych dochodzeń.

— Oczywiście. To się da łatwo zrobić. I jeszcze jedno. Chciałbym usłyszeć coś niecoś o całej sprawie z ust samego Jonathana Small. Wie pan, że lubię opracowywać sprawy ze wszystkimi szczegółami. Mam nadzieję, że nie będzie zastrzeżeń przeciwko temu, abym odbył z nim nieoficjalną rozprawę albo tu u mnie w mieszkaniu, albo gdzie indziej, gdzie oczywiście więzień będzie odpowiednio strzeżony.

— No cóż, pan jest panem sytuacji. Jak dotąd, nie mam żadnego dowodu, że w ogóle jakiś Jonathan Small istnieje. Jeśli go pan jednak ujmie, nie widzę powodu, dlaczegobym miał panu zabronić tej rozmowy.

— A więc zgoda?

— Zupełna. Czy jeszcze coś?

— Chyba jeszcze to, że chcę koniecznie, aby pan zjadł z nami obiad. Będzie gotowy za pół godziny. Mamy ostrygi i przepiórki, a do tego niezłe białe wino. Watsonie, jeszcze nie miałeś okazji ocenić dostatecznie moich zalet jako gospodarza.

## X. KONIEC WYSPIARZA

Obiad upłynął nam bardzo wesoło. Holmes, gdy chciał, potrafił świetnie opowiadać, a tego wieczora właśnie miał na to ochotę. Był wyraźnie podniecony. Nigdy nie widziałem go w bardziej błyskotliwym nastroju. Poruszał najrozmaitsze tematy — teatr średniowieczny, ceramika średniowieczna, skrzypce Stradivariusa, buddyzm na Cejlonie i wojenne okręty w przyszłości — a o wszystkim mówił z takim znanstwem, jak gdyby specjalnie to studiował. Jego wyśmienity humor jaskrawo odbijał od depresji poprzednich dni. Okazało się, że Athelney Jones potrafi być wcale miłym towarzyszem w chwilach wolnych od zawodowych zajęć, zaś do jedzenia zabrał się jak prawdziwy *bon vivant*. Mnie też ogarnęło podniecenie na myśl, iż zbliżamy się do końca naszego zadania, a zresztą zaraziłem się wesołością Holmesa. W czasie obiadu żaden z nas nie wspominał nawet słowem o sprawie, która nas tutaj zgromadziła.

Kiedy już sprzątnięto, Holmes spojrzął na zegarek i napenił trzy kieliszki portwejnem.

— Wypijmy — powiedział — za powodzenie naszej małej ekspedycji. A teraz już najwyższy czas na nas. Czy masz jakiś pistolet, Watsonie?

— Mam w biurku mój stary służbowy rewolwer.

— Lepiej weź go ze sobą. Należy być przygotowanym na wszystko. Widzę, że dorożka już czeka. Zamówiłem ją na pół do siódmej.

Zanim dojechaliliśmy do przystani westminsterskiej, było trochę po siódmej. Na wodzie czekała już na nas łódź, którą Holmes obrzucił krytycznym spojrzeniem.

— Czy można po czymś poznać, że to łódź policyjna? — zapytał.

— Owszem. Ta zielona latarka z boku.

— A więc proszę ją zdjąć.

Gdy to uczyniono, weszliśmy na pokład i odwiązano łódź od pąka. Jones, Holmes i ja siedzieliśmy u rufy. Jeden człowiek siadł przy sterze, drugi przy motorze, a dwu zwalistych policjantów na przodzie.

— Dokąd? — spytał Jones.

— Do Tower. Niech się zatrzymają naprzeciw doku Jacobsona.

Łódź była rzeczywiście bardzo szybka. Mknęliśmy wzdłuż szeregów naładowanych barek. Holmes uśmiechał się z zadowoleniem, gdy wymińliśmy jakiś rzeczny parowiec, pozostawiając go daleko w tyle.

— W tym tempie możemy prześcignąć każdego — powiedział.

— No, to może nie, w każdym razie niewiele jest motorówek, które by nas pobiły.

— Musimy złapać „Aurorę”, a ona uchodzi za bardzo szybką. Opowiem ci teraz, Watsonie, jak to wszystko wygląda. Pamiętasz, jaki byłem zły, że taka drobnostka stanęła mi na drodze?

— Owszem.

— Dałem więc całkowity wypoczynek mózgowi zajmując się doświadczeniami chemicznymi. Jeden z naszych największych mężów stanu powiedział kiedyś, że najlepszym wypoczynkiem jest zmiana rodzaju pracy. I rzeczywiście. Kiedy mi się udało rozpuścić węglowodór, powróciłem znowu do zagadnienia Sholtów i przemyślałem wszystko od początku. Moi chłopcy przetrząsnęli na próżno oba brzegi rzeki. Nie znaleźli „Aurory” na żadnej przystani ani nie wróciła do domu. Trudno było przypuścić, iż zatopiono ją celem zatarcia śladów, chociaż pozostawała jeszcze i ta hipoteza, gdyby wszystko inne zawiodło. Dobrze wiedziałem, że ten Small musi być wcale chytry, nie uważałem go jednak za zdolnego do czegoś, co wymagałoby subtelności

przemyslenia, gdyż bywa to przeważnie atrybutem wyższej kultury. Pomyślałem więc, że skoro Small był już przez jakiś czas w Londynie — a przekonaliśmy się, że stale śledził wydarzenia w Pondicherry Lodge — to chyba nie mógł tak natychmiast wyjechać, lecz musiał mieć trochę czasu, chociażby jeden dzień, na załatwienie swoich spraw osobistych. Tak mi dyktowała teoria prawdopodobieństwa.

— Ten punkt wydaje mi się trochę słabszy — odpowiedziałem. — Bardziej prawdopodobne przecież, że załatwił swoje sprawy, zanim udał się na tę eskapadę.

— Nie, nie sędzę. Jego kryjówka byłaby zbyt cennym schronieniem w razie potrzeby, żeby mógł sobie pozwolić na pozbycie się jej przed czasem. Ale jeszcze jedno mnie uderzyło. Jonathan Small musiał sobie zdawać sprawę z tego, że dziwna powierzchowność jego towarzysza, choćby nie wiem jak starał się go ukryć, da temat plotkom i nawet może być łączona z tragedią w Norwood. Miał na pewno dość rozumu, żeby wpaść na tę myśl. Wyruszyli ze swej kwatery głównej pod osłoną nocy i Small zamierzał wrócić tam przed świtem. Według słów pani Smith była godzina trzecia, kiedy przyszli po łódź. Rozwidniało się już zupełnie, jeszcze godzina i ludzie zaczęli wstawać. Stąd wniosek, że musieli popłynąć niedaleko. Opłacili dobrze Smitha, żeby trzymał język za zębami, zarezerwowali sobie jego motorówkę na ostateczną ucieczkę i pośpieszyli ze szkatułą do swojej kwatery. Za kilka dni, kiedy będą się mogli zorientować, co gazety piszą na ten temat i czy są na nich skierowane podejrzenia, udadzą się w nocy na jakiś okręt w Gravesend czy Downs, gdzie już niewątpliwie mają zarezerwowany przejazd do Ameryki lub do Kolonii.

— Tak, ale co z motorówką? Nie mogli jej przecież zabrać i ukryć ze sobą.

— Oczywiście, przypuszczałem, iż musi być gdzieś w pobliżu, tyle że niewidzialna. Starałem się potem wyobrazić sobie, że jestem Smallem, i pojąć, co człowiek jego pokroju by w tej sytuacji zrobił. Najprawdopodobniej rozważył sobie, że jeśli odeśle łódź do przystani i będzie ją tam trzymał to policja, wpadłszy na ich trop, będzie miała ułatwioną pogoń. Jak więc ukryć łódź i mieć ją równocześnie pod ręką? Zastanowiłem się, jak bym ja sam w takim przypadku postąpił, i znalazłem tylko jeden sposób. Przekazałbym łódź jakiemuś majstrowi czy warsztatowi reperacyjnemu z poleceniem, by wymienili w niej jakiś nieistotny drobiazg. Zostałaby wtedy zabrana gdzieś do doku czy warsztatu, a więc ukryta, równocześnie zaś mógłbym ją w każdej chwili mieć do rozporządzenia.

— To mi się wydaje bardzo logiczne i proste.

— Właśnie te pozornie proste rzeczy są często przeoczone. Postanowiłem więc działać. Wyruszyłem natychmiast w przebraniu tego poczciwego marynarza i zasięgałem języka we wszystkich dokach w dole rzeki. W piętnastu nie dowiedziałem się niczego, natomiast w szesnastym, u Jacobsona, powiedziano mi, że przed dwoma dniami człowiek z drewnianą nogą zostawił u nich „Aurorę”. Twierdził, że ster coś źle funkcjonuje. „Sterowi nic nie brak — powiedział majster. — O, tam pan ma «Aurorę», na wodzie, ta z czerwonymi pasami”. W tym samym momencie zjawia się, jak myślicie, kto? Mardocheusz Smith, jej zaginiony właściciel, i to mocno pod gazem. Nigdy bym się nie domyślił, że to on, gdyby sam nie wykrzykiwał swego nazwiska i nazwy motorówki. „Potrzebna mi jest dziś wieczorem o ósmej — wołał — punktualnie o ósmej, pamiętajcie, bo muszę zawieźć dwu gości, którzy nie lubią czekać”. Musieli mu widać bardzo dobrze zapłacić, bo szastał pieniędzmi na prawo i lewo. Szedłem jakiś czas za nim, po chwili jednak skręcił do knajpy, wróciłem więc do doku zabrawszy po drodze jednego z moich chłopców, zostawiłem go na straży i poleciłem pilnować łodzi. Ma stać na brzegu i da nam znać chusteczką, gdy wystartują. Będziemy czekać na rzece i powinniśmy schwytać wszystko razem: i ludzi, i skarb.

— Doskonale pan to zaplanował, bez względu na to, czy chodzi o właściwych ludzi, czy nie — zauważył Jones — gdybym to jednak ja zajmował się tą sprawą, sprowadziłbym policję do Jacobsona i zaarrestował tych dwóch zaraz po ich przyjsściu.

— Co nigdy by nie nastąpiło. Ten facet, Small, to bardzo chytra sztuka. Wyśle naprzód czujkę i jeżeli tylko coś zbudzi jego podejrzenie, przyczai się gdzieś znowu co najmniej na tydzień.

— Ale mogłeś przecież dopilnować Smitha, który by cię zaprowadził do ich kryjówki — zauważyłem.

— Musiałbym wówczas stracić cały dzień, a istnieje zaledwie jedna szansa na sto, że Smith zna ich kryjówkę. Dostał pieniądze i może się upić, po co więc ma zadawać pytania? Przesłali mu instrukcje, co ma robić. Nie, rozważałem wszelkie możliwe posunięcia i to jest najlepsze.

W czasie tej rozmowy mknęliśmy pod mostami rozpiętymi nad Tamizą. Gdy mijaliśmy City, ostatnie promienie zachodzącego słońca złościły krzyż na kopule kościoła św. Pawła. Dobieliśmy do Tower już o zmierzchu.

— Oto doki Jacobsona — wskazał Holmes na grupę masztów i łodzi po stronie Surrey. — Popłyniemy tam i z powrotem pod osłoną tych barek. — Wyjął z kieszeni nocną lornetkę i wpatrywał się jakiś czas w brzeg. — Widzę mojego wartownika na straży — powiedział — ale żadnego znaku chusteczki.

— A gdybyśmy tak spłynęli trochę w dół rzeki i przyczaili się tam na nich? — zaproponował skwapliwie Jones.

Wszystkich nas ogarnęło takie samo podniecenie, nawet policjantów i palaczy, którzy mieli bardzo słabe pojęcie o celu tej wycieczki.

— Nie wolno nam na niczym polegać — odpowiedział Holmes. — Jest dziesięć szans przeciw jednej, że popłyną w dół rzeki, ale nie mamy żadnej pewności. Stąd widzimy wejście do doku, a sami jesteśmy niewidoczni. Noc zapowiada się jasna i widoczność jest dostateczna. Musimy zostać tu. Spójrzcie, jak tam w świetle latarni gazowych roi się od ludzi.

— Wracają z doków po pracy.

— Brudne szelmy, ale przypuszczam, że każdy z nich nosi w sobie jakąś ukrytą iskierkę nieśmiertelności. Patrząc na nich, nikt by tego nie powiedział; nie można twierdzić tego *a priori*. Cóż za dziwną zagadką jest człowiek!

— Ktoś nazwał go duszą zamkniętą w zwierzęciu — dodałem.

— Bardzo trafnie mówi na ten temat Winwood Reade — rzekł Holmes. — Powiada on, że podczas gdy każdy z osobna człowiek stanowi zagadkę nie do rozwiązania, to w skupisku staje się matematycznym pewnikiem. Nigdy, na przykład, nie można odgadnąć, jak postąpi pojedynczy człowiek, natomiast można dokładnie przewidzieć, co zrobi pewna określona ilość ludzi. Indywidualności się różnią, ale procenty pozostają niezmiennie. Tak twierdzi statystyka. Ale co to? Czy mi się zdaje, że widzę chusteczkę? Na pewno coś białego miga tam w oddali.

— Tak, to twój chłopiec! — wykrzyknąłem. — Widzę go doskonale!

— A oto i „Aurora”! — zawołał Holmes. — I pędzi jak strzała. Dodajcie gazu — zwrócił się do mechanika — i gonimy tę łódź z żółtym światłem z tyłu. Na Boga! Nigdy sobie nie daruję, jeżeli się nam wymknie.

„Aurora” wysunęła się niepostrzeżenie z doku i przepłynęła z tyłu za dwoma czy trzema małymi stateczkami, tak że nim ją zobaczyliśmy, była już na pełnych obrotach. Mknęła teraz w dół rzeki, cały czas blisko brzegu, rozwijając niesłychaną szybkość. Jones patrzył na nią z powagą i potrząsał głową.

— Jest niezwykle szybka — powiedział. — Bardzo wątpię, czy uda się nam ją dopędzić.

— Ale my musimy ją dopędzić — syknął Holmes przez zęby. — Hej, mechanicy, zróbcie, co możecie. Musimy ich mieć, choćby miało naszą łódź roznieść.

Byliśmy teraz niedaleko za „Aurorą”. Palenisko huczało, a potężny kocioł pulsował i drżał jak wielkie metalowe serce. Ostry dziób pruł ciche fale rzeki pozostawiając z lewej i z prawej strony zwały wody.

Każde drgnienie motoru powodowało, że cała łódź podskakiwała i drżała jak żywa. Duża żółta latarnia na dziobie rzucała długą, migotliwą smugę światła na naszą drogę. Przed nami ciemna plama na wodzie wskazywała, gdzie jest „Aurora”, a kłębiąca się za nią piana świadczyła, z jak wielką szybkością się posuwa. Mijaliśmy barki, parowce, statki handlowe zdążające w tę i tamtą stronę, okrążaliśmy jedne lub wypadaliśmy z tyłu za innymi. Z ciemności dochodziły nas różne głosy i nawoływania, ale „Aurora” ciągle gnała naprzód, a my tuż, w jej tropy.

— Dorzucajcie, ludzie, dorzucajcie! — wołał Holmes zaglądając do kotłowni; żar oświetlał jego podnieconą, orlą twarz. — Starajcie się wydobyć z kotłów jak najwięcej pary.

— Mam wrażenie, że się trochę zbliżamy — rzekł Jones z oczami wlepionymi w „Aurorę”.

— Jestem tego zupełnie pewien — dodałem. — Za kilka minut powinniśmy się z nią zrównać.

W tej samej jednak chwili pech zrzucił, że statek holowniczy, ciągnący za sobą trzy barki, zaszedł nam drogę. Tylko gwałtowne ściągnięcie steru uratowało nas przed zderzeniem, ale nim zdołaliśmy wyminąć przeszkodę i powrócić na kurs, „Aurora” wyprzedziła nas o dobre dwieście jardów. Ciągle jednak mieliśmy ją przed oczami, bo mroczny, niepewny zmierzch przeszedł w rozgwieżdżoną noc. Kotły pracowały z maksymalnym wysiłkiem i słaba łódź drżała i trzeszczała od mocy, jaka parła nas naprzód. Przelecieliśmy przez Pool, koło doków Zachodni-Indyjskich, potem wzdłuż Deptford Reach i znowu z nurtem rzeki, okrążywszy Isle of Dogs. Ciemna plama mająca przed nami przybrała teraz wyraźnie kształt śmigłej „Aurory”. Gdy Jones skierował na nią reflektor, doskonale rozróżniliśmy postacie na pokładzie. Jeden z ludzi siedział na rufie i trzymał między kolanami coś, nad czym się od czasu do czasu pochylał. Obok leżało coś ciemnego jakby duży pies nowofunlandzki. Ster trzymał chłopiec, zaś przy czerwonym blasku paleniska dojrzałem starego Smitha, obnażonego do pasa i dorzucającego węgiel do pieca z takim zapałem, jak by od tego zależało życie. Być może, z początku mieli jeszcze wątpliwości, czy dążymy ich śladem, skoro jednak za każdym zakrętem czy okrążeniem wciąż odnajdywali nas za sobą, nie mogli się dłużej łudzić. Pod Greenwich byliśmy już tylko jakieś trzysta kroków za nimi, w Blackwall — najwyżej dwieście pięćdziesiąt. W ciągu mojej urozmaiconej kariery polowałem już na różną zwierzynę, w wielu krajach, ale nigdy ten sport nie dał mi tyle dzikich przeżyć co ta szalona, dzika pogoń po Tamizie. Jard za jardem zbliżaliśmy się do „Aurory”. W ciszy nocnej słyszeliśmy pulsowanie i warkot jej maszyn. Człowiek u rufy siedział dalej skurczony, poruszając ustawicznie ramionami, jak gdyby czymś zajęty. Od czasu do czasu podnosił głowę i mierzył wzrokiem odległość dzielącą łodzie. Podpływaliśmy coraz bliżej i bliżej. Jones krzyknął, by się zatrzymali. Byliśmy teraz nie dalej niż o cztery długości łodzi od nich, przy czym obie łodzie pędziły z szaloną szybkością. Całą rzekę widać było bardzo wyraźnie — z Barking Level z jednej i melancholijnymi bagnami Plumstead z drugiej strony. Na krzyk Jonesa człowiek przy rufie wstał i zaczął nam wygrażać obydwoma pięściami, przeklinając równocześnie wysokim, skrzypiącym głosem. Był to postawny, silny mężczyzna — i gdy tak stał szeroko rozkraczony, zauważyłem, że prawą nogę od kolana ma drewnianą. Na dźwięk jego przenikliwego, rozłoszczonego głosu ciemna kupka leżąca obok na pokładzie poruszyła się, wyprostowała i zmieniła w małego, czarnego człowieczka — najmniejszego, jakiego mi się trafiło widzieć — o wielkiej, niekształtnej głowie i kołtunie potarganych włosów. Holmes wyciągnął już rewolwer, ja zaś poszedłem w jego ślady na widok tej dzikiej, wykrzywionej twarzy. Postać tę otulał rodzaj pledu czy opończy, tak że jedynie twarz można było dojrzeć. Wystarczyło to jednak, aby na długo pozbawić człowieka snu. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się widzieć twarzy nacechowanej

takim bestialstwem i okrucieństwem. Małe oczka pały się jakimś niesamowitym blaskiem, a grube wargi, ściągnięte w tył, odsłaniały zęby, którymi zgrzytał w zwierzęcej furii.

— Pal, jeżeli podniesie rękę — powiedział spokojnie Holmes.

Byliśmy oddaleni zaledwie o długość łodzi i mogliśmy nieomal dotknąć ręką naszej zdobyczy. Dzisiaj jeszcze mam ten obraz przed oczami: dwaj ludzie na pokładzie, z których jeden, biały, stoi w rozkroku i bluzga ku nam przekleństwa, a drugi, niesamowity karzeł o ohydnej twarzy, zgrzyta w świetle latarni mocnymi, żółtymi zębami. Całe szczęście, że widzieliśmy go tak wyraźnie, bo nagle wyciągnął spod płachty krótki, okrągły kawałek drzewa, podobny do szkolnej linijki i przyłożył go do ust. Oba nasze wystrzały zabrzmiały równocześnie. Zakręcił się na miejscu, wyrzucił w górę ramiona i ze zduszonym krzykiem runął do wody. Wśród białej piany mignęło mi jeszcze raz jego groźne, jadowite spojrzenie. W tej samej chwili człowiek o drewnianej nodze rzucił się na ster i szarpnął go z całej siły, tak że szalupa skręciła gwałtownie ku południowemu brzegowi, my zaś przemknęliśmy zaledwie kilka stóp od jej rufy. Skręciliśmy natychmiast w ich ślady. „Aurora” jednak dobijała już do brzegu.

Była to dzika, opuszczona okolica, gdzie ciągnął się szeroki pas bagien, oświetlony blaskiem księżyca, poprzecinany rozlewiskami stojącej wody i pokryty gnijącą roślinnością. Łódź z rufą mokrą od wody uderzyła głucho o bagnisty brzeg. Zbieg wyskoczył, ale jego drewniany kikut natychmiast ugrzązł w rozmokłym gruncie. Daremnie próbował się wydostać; ani kroku w tył czy naprzód. Ryczał z bezsilnej wściekłości i zdrową nogą kopał dokoła, ale tylko zapadał się coraz bardziej. Kiedy wyciągnęliśmy na brzeg naszą łódź, tkwił już tak mocno w bagnie, że dopiero zarzuciwszy nań grubą linę zdołaliśmy wyciągnąć go i przywlec do burty jak wielką rybę. Obydwaj Smithowie, ojciec i syn, siedzieli nachmurzeni w motorówce, wyszli jednak pokornie na nasz rozkaz. Samą „Aurorę” przyholowaliśmy do naszej łodzi. Na jej pokładzie stała mocna żelazna skrzynka hinduskiej roboty. Bez wątpienia była to ta sama skrzynka, która zawierała złowróźbny skarb Sholtów. Nie miała klucza, była jednak bardzo ciężka, toteż ostrożnie przenieśliśmy ją do naszej małej kabiny. Wracając powoli w górę rzeki kierowaliśmy światło reflektora na wszystkie strony, ale nigdzie nie dostrzegliśmy śladu wyspiarza. Gdzieś w ciemności na dnie Tamizy leżą kości tego dziwnego przybysza.

— Spójrz — rzekł nagle Holmes wskazując na klapę w pokładzie — w samą porę użyliśmy pistoletów.

Tuż za miejscem, gdzie staliśmy obaj z Holmesem, tkwiła w desce jedna z morderczych strzał, które tak dobrze znaliśmy. Musiała przelecieć między nami w chwili, kiedyśmy strzelali. Holmes uśmiechnął się tylko, wzruszając niedbale ramionami, ja jednak, przyznając, poczułem zimny dreszcz na myśl o strasznym niebezpieczeństwie, które przeszło tak blisko obok nas tej nocy.

## XI. SKARB AGRY

Więzień siedział w kabinie naprzeciw skrzyni, na której zdobycie tak długo czekał i tak wiele się natrudził. Był to człowiek o niespokojnych oczach, a jego twarz spaloną na mahoń pokrywała sieć zmarszczek i bruzd, świadczących, że musiał ciężko pracować na świeżym powietrzu. Mocny zarys szczęk widoczny mimo brody wskazywał, że niełatwo go odwieść od obranego celu. Mógł mieć jakieś pięćdziesiąt lat lub więcej, bo jego czarne, kręjące się włosy przyprószone były gęsto siwizną. Teraz, gdy był spokojny, nie wyglądał specjalnie nieprzyjemnie, chociaż gdy popadł w gniew, gęste brwi i agresywny podbródek nadawały mu charakter okrucieństwa, co sam niedawno stwierdziłem. Siedział z zakutymi w kajdanki rękami na kolanach, a głową zwieszoną na piersi i spoglądał błyszczącymi oczami na skrzynię, dla której tyle złego dokonał. Zdawało mi się, że widzę więcej zmartwienia niż gniewu na jego nieruchomej, opanowanej twarzy. Raz nawet spojrzął na mnie jak by rozbawiony. — No, cóż, Jonathanie Small — rzekł Holmes zapalając cygaro — bardzo mi przykro, że do tego doszło.

— I mnie także — przyznał szczerze. — Myślę jednak, że nie zasłużył sobie aż na stryczek. Przysięgam panu na Biblię, że nie podniosłem nawet ręki na pana Sholto. To ten diabli pomiot, ten pokurcz Tonga, puścił na niego swoją przeklętą strzałę. Ja nie brałem w tym udziału, proszę pana. Takem się tym zgryzł, jak by mi zabił jakiego krewniaka. Wychłostałem nawet potem tego małego diabła końcem liny, ale co się stało, tego nie dało się już odrobić.

— Zapalcie no — rzekł Holmes — a łyk z mojej flaszki też dobrze wam zrobi, bo jesteście zupełnie przemoczeni. Lecz jak mogliście przypuścić, że ten czarny karzeł będzie miał dość siły, aby obezwładnić i przytrzymać pana Sholto podczas waszej wspinaczki po linie?

— Tak pan mówi, jak by pan tam był! Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się zastać pokój pusty. Dobrze znałem tryb życia pana tego domu, a to była właśnie godzina, w której zawsze schodził na dół na kolację. Nie będę nic ukrywał, najlepszą moją obroną będzie, jak wyznam całą prawdę. Gdyby chodziło o starego majora, to co innego, ani bym się nie zawahał. Wsadziłbym mu nóż między żebra tak samo chętnie jak teraz to cygaro w zęby! Ale jak będę zesłany za tego młodego Sholto, do którego nie miałem nigdy najmniejszej urazy, to diablo głupio.

— Jesteście pod nadzorem pana inspektora Jonesa ze Scotland Yardu. Przyprowdzi was do mego mieszkania, bo chciałbym usłyszeć szczegółowo o całej tej sprawie. Musicie mi powiedzieć całą prawdę, bo przypuszczam, że będę wam mógł coś pomóc. Prawdopodobnie zdołam udowodnić, że ta trucizna działa natychmiast i zanim zdołaliście się wdrapać do pokoju, pan Sholto już nie żył.

— Bo tak i było naprawdę, proszę pana. Nie pamiętam, że bym kiedy przeżył taki wstrząs jak wtedy, kiedym się wdrapał przez okno do pokoju: ta wykrzywiona na ramię głowa! Byłbym chyba zabił Tongę na miejscu, ale uciekł. Mówił, że to wtedy właśnie zgubił swój kij i strzały i one na pewno naprowadziły pana na nasz ślad. Chociaż, dalibóg, nie rozumiem, jakim cudem pan tego śladu nie zgubił. Ja tam zresztą nie mam do pana żalu o to, że pan mnie złapał. Ale czy to nie dziwne — dodał z gorzkim uśmiechem — że bym ja, co mam prawo do pół miliona funtów, musiał spędzić jedną połowę życia przy budowie falochronu na Andamanach, a drugą pewnie na kopaniu drenów w Dartmoor. Przeklęty dzień, kiedym pierwszy raz ujrzał kupca Achmeda i zetknął się ze skarbem Agry, bo on jak dotąd sprowadzał tylko przekleństwo na swoich posiadaczy. Achmedowi przyniósł krwawą śmierć, majorowi Sholto strach i winę, mnie wreszcie dożywotnią niewolę.

W tym momencie Jones wsunął głowę do kabiny:

— Piękna scenka rodzinna — zauważył. — Pozwoli pan, panie Holmes, pociągnąć z flaszki? No więc, moim zdaniem, możemy sobie wzajemnie pogratulować. Szkoda, że nie udało się nam schwytać tego drugiego żywcem. No, ale nie było wyboru. Trzeba przyznać, panie Holmes, że pan to bardzo ładnie rozwiązał. Nie mogliśmy nic więcej zrobić, jak dopędzić motorówką.

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy — rzekł Holmes. — Nie miałem jednak pojęcia, że „Aurora” jest aż tak szybka.

— Smith twierdzi, że to jedna z najszybszych motorówek na rzece i że gdyby miał jeszcze jednego człowieka do pomocy przy kotle, nigdy byśmy nie zdołali go dogonić. Przysięga, że nie miał najmniejszego pojęcia o aferze w Norwood.

— I mówi prawdę — wykrzyknął nasz więzień — nie wiedział ani słowa. Wybrałem jego łódź, bo wiedziałem, że jest taka szybka. Nie powiedzieliśmy mu nic, ale zapłaciliśmy dobrze i miał jeszcze dostać sowitą nagrodę w Gravesend po przybyciu do naszego statku „Esmeraldy”, która odpływa do Brazylii.

— No, jeżeli istotnie nie uczynił nic złego, to i my się postaramy, aby mu się nie stało. Działamy szybko, aby schwytać, kogo trzeba, ale tak od razu człowieka nie skazujemy.

Zabawne było widzieć, jak zadufany w sobie Jones już zaczynał przybierać górne tony dzięki udanemu pościgowi. Z lekkiego uśmiechu na twarzy Holmesa odgadłem, że i on pomyślał to samo.

— Dopływamy teraz do mostu Vauxhall — powiedział Jones — i tutaj wysadzimy pana, doktorze, razem ze szkatułką. Nie będę ukrywał, że biorę na siebie kolosalną odpowiedzialność. To bardzo nieprzepisowe, ale trudno, umowa jest umową. Muszę jednak w myśl przepisów służbowych przydzielić panu jednego z moich ludzi dla eskorty, a to ze względu na wielką wartość skrzynki. Pan zapewne weźmie dorożkę?

— Tak, oczywiście.

— Szkoda, że nie mamy klucza, bo moglibyśmy uprzednio spisać jej zawartość. Będzie pan musiał rozbić zamek. Gdzie klucz do tej skrzynki, mój człowieku? — zwrócił się do Smalla.

— Na dnie rzeki — odpowiedział tenże krótko.

— Hm... Całkiem niepotrzebnie przyczyniłeś nam jeszcze tego dodatkowego kłopotu. Dość już mieliśmy i tak roboty przez was. Nie potrzebuję chyba ostrzegać pana, doktorze, żeby pan był bardzo ostrożny. Niech pan przywiezie skrzynkę na Baker Street. Przyjedzie pan tam po nas, a potem razem udamy się do Scotland Yardu.

Wysadzili mnie w Vauxhall razem z ciężkim żelaznym bagażem i z wesołym inspektorem policji do pomocy. W kwadrans dojechaliśmy do mieszkania pani Forrester. Służącą wyraźnie zdziwiła ta późna wizyta. Wyjaśniła nam, że pani Forrester nie ma w domu i prawdopodobnie wróci bardzo późno, ale panna Morstan jest w saloniku. Udałem się więc tam, zabrawszy ze sobą szkatułę, a uprzejmego inspektora zostawiłem w dorożce. Panna Morstan siedziała przy otwartym oknie, ubrana w jakiś powiewny biały strój domowy z czymś szkarłatnym przy szyi i w talii. Miękkie, przyćmione światło lampy padało na jej słodką, poważną twarz i zapalało przytłumione, metaliczne błyski w jej gęstych, pięknych włosach. Jedna biała dłoń zwiisała z poręczy fotela, a cała postać zdawała się pogrążona w zadumie i melancholii. Na odgłos mych kroków zerwała się z miejsca; ciemny rumieniec zdziwienia i radości zabarwił jej blade policzki.

— Słyszałam, jak zajechała dorożka, i byłam pewna, że to pani Forrester wróciła wcześniej, niż zapowiedziała. Nie przypuszczałam nawet, że to pan. Jakież pan przywozi wiadomości?

— Przywożę coś lepszego niż wiadomości — odpowiedziałem stawiając szkatułę na stole i starając się, by mój głos brzmiał pogodnie i wesoło, chociaż serce ciążyło mi w piersi jak kamień.



— Przywiozłem pani coś, co jest warte więcej niż wszystkie wiadomości na świecie, a mianowicie bogactwo.

Rzuciła okiem na szkatułkę.

— Czy to jest właśnie owo bogactwo? — zapytała dość obojętnie.

— Tak... to wielki skarb Agry. Połowa należy do pani, a druga do Thaddeusa Sholto. Wyniesie to kilkaset tysięcy funtów na osobę. Niech pani pomyśli! To oznacza roczny dochód dziesięciu tysięcy funtów. Mało się znajdzie w Anglii bogatszych młodych dam. Czy to nie wspaniale?

Zdaje mi się, że musiałem trochę przeholować w moich gratulacjach i że wyczuła w nich coś podejrzanego, uniosła bowiem lekko brwi i spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

— Jeżeli ten skarb mam — powiedziała — to tylko dzięki panu.

— Nie, nie, nic podobnego — odpowiedziałem — nie dzięki mnie, lecz dzięki mojemu przyjacielowi Sherlockowi. Mimo najlepszych chęci nie zdołałbym go odszukać w tych warunkach, trudnych nawet dla jego genialnego analitycznego umysłu. Mało brakowało, a byłibyśmy jeszcze w ostatniej chwili ten skarb postradali.

— Proszę, niech pan usiądzie i opowie mi wszystko szczegółowo, doktorze.

Opowiedziałem pokrótce wszystko, co się wydarzyło od naszego ostatniego widzenia: nową metodę poszukiwań Holmesa, odnalezienie „Aurory”, zjawienie się Athelney Jonesa, wieczorną wyprawę i niesamowitą pogoń po Tamizie. Z rozchylonymi wargami i błyszczącymi oczyma słuchała o naszych przygodach. Gdy doszedłem do miejsca, kiedy to zatruta strzała przeleciała tuż koło nas, zbladła tak mocno, iż obawiałem się, że za chwilę zemdleje.

— Nie, nie, to nic — powiedziała, gdy zerwałem się, by podać jej wody — już przeszło. Tylko nie mogłam słuchać spokojnie o tym, na jakie niebezpieczeństwo naraziłam swych przyjaciół.

— Ale przecież to wszystko mamy już za sobą — odpowiedziałem — to naprawdę nie było nic takiego. Nie będę już pani opowiadał takich ponurych szczegółów. Mówmy o czymś weselszym, cóż na przykład, może być przyjemniejszego niż ten skarb. Pozwolono mi przywieźć go osobiście i myślałem, że będzie pani przyjemnie, jeżeli pani pierwsza go obejrzy.

— Będzie to dla mnie niezmiernie interesujące — powiedziała, chociaż w jej głosie nie czuć było specjalnego podniecenia. Przypuszczalnie jednak uważała, że byłoby nieładnie okazać obojętność wobec zdobytego z tak wielkim trudem skarbu. — Jaka piękna szkatuła — dodała pochylając się nad nią. — To indyjska robota, prawda?

— Tak. To z Benares, kute w metalu.

— I jaka ciężka! — wykrzyknęła, starając się unieść. — Sama szkatuła musi mieć niemałą wartość. Gdzie kluczyk?

— Small wrzucił go do Tamizy — odpowiedziałem. — Muszę pożyczyć pogrzebacza pani Forrester.

Z przodu szkatuły znajdował się gruby, szeroki skobel wyrzeźbiony na kształt siedzącego Buddy. Pod ten skobel wsunąłem koniec pogrzebacza i szarpnąłem ku górze. Skobel odskoczył z głośnym trzaskiem. Drżącymi rękoma uniosłem wieko. Chwilę patrzyliśmy jak skamieniali... Szkatuła była pusta...

Nic dziwnego jednak, że była ciężka — ścianki miała niemal calowej grubości. Była masywna, solidnie zrobiona, jak kufer przeznaczony do przechowywania drogocennych rzeczy, ale wewnątrz ani śladu złota lub klejnotów. Szkatuła była najzupełniej pusta.

— Skarb przepadł — powiedziała spokojnie panna Morstan.

Słyszając jej słowa i zdając sobie sprawę z ich znaczenia, czułem, jak jakiś wielki ciężar spada mi z serca. Nie przypuszczałem nawet, jakim młyńskim kamieniem leżał mi na sercu skarb Agry.

Zrozumiałem to dopiero teraz, kiedy wreszcie znikł. Oczywiście, że było to egoistyczne, nielojalne, złe, lecz nie mogłem myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że znikła złota bariera, która nas dzieliła!

— Bogu dzięki! — wyrwało mi się z głębi serca.

Rzuciła na mnie szybkie spojrzenie, uśmiechając się pytająco:

— Czemu pan to powiedział? — spytała.

— Bo jest pani znowu dostępna dla mnie — odpowiedziałem ujmując ją za rękę. Nie cofnęła jej. — Kocham cię, Mary, kocham tak, jak tylko mężczyzna może kochać kobietę. Ten skarb, te bogactwa zamykały mi usta. Teraz, kiedy to wszystko znikło, mogę powiedzieć, jak bardzo cię kocham. I dlatego właśnie powiedziałem „Bogu dzięki”.

— Wobec tego i ja także powiem „Bogu dzięki” — szepnęła, kiedy ją przycisnąłem do siebie. Może ktoś stracił skarb tego wieczoru, ja jednak swój skarb znalazłem.

## XII.

### DZIWNA HISTORIA JONATHANA SMALL

Cierpliwym człowiekiem musiał być ów policjant ze Scotland Yardu, upłynęło bowiem sporo czasu, nim do niego wróciłem. Gdy mu pokazałem pustą szkatułkę, zachmurzył się bardzo.

— No i figa z nagrody — rzekł ponuro. — Nie ma pieniędzy, nie ma czym płacić. Gdyby skarb się odnalazł, to za dzisiejszą noc mnie i Samowi Brown należałoby się co najmniej po dziesiątaku.

— Pan Thaddeus Sholto jako człowiek zamożny — odpowiedziałem — na pewno was wynagrodzi bez względu na to, czy skarb jest, czy nie.

Pokiwał tylko powątpiewająco głową.

— To marna sprawa — powtórzył. — Tego samego zdania będzie na pewno i inspektor Jones.

Przewidywania te sprawdziły się, sądząc po minie inspektora, któremu po przybyciu na Baker Street pokazałem pustą szkatułkę. Wszyscy trzej, to znaczy Holmes, Jones i więzień przyjechali tuż przede mną, ponieważ zmienili pierwotny plan i wstąpili jeszcze po drodze na posterunek policji. Mój przyjaciel siedział w fotelu z obojętną jak zwykle miną, podczas gdy Small, założywszy drewnianą nogę na zdrową, tkwił apatycznie naprzeciw niego. Kiedy pokazałem im pustą szkatułkę, odchylił się na krześle i wybuchnął głośnym śmiechem.

— To twoja robota, Small! — rzekł ze złością Jones.

— A moja! Ukryłem go tak, że nigdy go nie znajdziecie — wybuchnął. — To mój skarb i jeżeli sam nie mogę go zatrzymać, to już moja w tym głowa, żeby go nie miał nikt inny. Powtarzam, że żadna żywa istota nie ma do niego prawa, oprócz mnie i jeszcze trzech, co tam siedzą w barakach andamańskich. Teraz wiem, że ani ja, ani oni nie będziemy z niego korzystać, ale przez cały czas to, co robiłem, to nie tylko dla siebie, ale i dla nich, bo to był zawsze „Znak Czterech”. Wiem, że robiłem tak, jak oni by chcieli, abym robił, a oni też by woleli, żebym zatopił skarb w Tamizie raczej, niż dopuścić, by wpadł w ręce kogoś z Sholtów czy Morstanów. Nie na tośmy wykończyli Achmeda, żeby ich wzbogacać! Skarb jest tam, gdzie klucz i karzeł Tonga. Jakem wiedział, że wasza łódź niechybnie nas dopędzi, to cały skarb lu! w bezpieczne miejsce. Nie zarobicie ani jednej rupii z tej wycieczki!

— Zwodzisz nas, Small — przerwał ostro Jones. — Gdybyś miał zamiar wrzucić skarb do Tamizy, to łatwiej by ci było wrzucić go z całą szkatułą.

— Mnie łatwiej by było wrzucić, ale i wam znaleźć! — odparł patrząc na nas chytrze, z ukosa. — Człowiek, który miał dosyć sprytu, żeby mnie ująć, wyciągnąłby bez trudu taką szkatułę z dna rzeki. A tak, kiedy skarb macie rozsypany na przestrzeni pięciu czy więcej mil, to już będzie trudniejsza sprawa. Przyznaję, że mi to łatwo nie przyszło. Myślałem, że oszaleję, jak nas dopędzaliście! Ale przepadło i nie ma co żałować. Było się już w życiu i na wozie, i pod wozem, to się człowiek nauczył nie wylewać łez nad rozlanym mlekiem.

— Sprawa jest bardzo poważna, Small — powiedział detektyw. — Gdybyś pomógł przedstawicielom sprawiedliwości, zamiast krzyżować ich plany, miałbyś lepsze widoki w czasie rozprawy.

— Sprawiedliwość! — warknął eks-skazaniec. — Piękna mi sprawiedliwość! Do kogo skarb należał, jak nie do nas? Co za sprawiedliwość, żebym miał go oddawać tym, co nigdy na niego nie zapracowali. A jak ja sobie na to zapracowałem?! Dwadzieścia długich lat przesiedziałem w tych przeklętych malarycznych bagnach, dzień za dniem harując pod mangowcami, a co noc przykutym łańcuchem w nędznych barakach skazańców, cięty przez moskity, dręczony febrą,

torturowany przez byle czarnego dozorcę, który lubił odegrać się na białym. Oto jak zapracowałem sobie na skarb Agry, a wy mówicie mi o sprawiedliwości, tylko dlatego, że nie mogę znieść myśli, bym ja płacił taką cenę za ten skarb, a potem z niego korzystał kto inny... Toć sto razy wolę dyndać na szubienicy albo dostać pod skórę taką strzałę Tongi, niż gnić w celi i myśleć, że ktoś inny żyje w dostatku, w pałacach za moją krwawicę!

Opadła zeń maska stoicyzmu i słowa rwały mu się z ust strumieniem, oczy lśniły, a kajdany brzęczały w rytm gwałtownych ruchów rąk. Patrząc na furję i pasję tego człowieka zrozumiałem, iż major Sholto miał niewątpliwie podstawy do przerażenia, kiedy dowiedział się, że ów pokrzywdzony skazaniec jest na jego tropie.

— Nie zapominaj pan, że cała ta sprawa jest dla nas zupełnie obca — zauważył spokojnie Sherlock. — Nie znamy tej całej historii i nie możemy wobec tego powiedzieć, po czyjej stronie była słuszność.

— No cóż, proszę pana, muszę przyznać, że pan postępował ze mną bardzo przyzwoicie, chociaż zdaję sobie sprawę, że tylko panu zawdzięczam te bransoletki, co mi tu brzęczą. Ale mimo to nie żywię do pana urazy. Każdy robi swoje, byle szczerze i otwarcie. Jeżeli chce pan usłyszeć moje dzieje, to nie mam zamiaru nic ukrywać. Wszystko, co powiem, to święta prawda, ani słowa kłamstwa. Dziękuję panu, proszę postawić tę szklanke tu koło mnie, a jak mi zaschnie w gardle, to sobie łyknę.

Pochodzę z Worcestershire, urodziłem się w pobliżu Pershore. Pewno i teraz jeszcze znalazłoby się tam kilku Smallów, gdyby ich kto poszukał. Często miałem zamiar się tam rozejrzeć, ale co prawda nie przynosiłem chluby mej rodzinie i wątpię, czyby się bardzo ucieszyli na mój widok. Wszystko to byli ludzie stateczni, chodzący co niedziela do kościoła, osiedli na roli, znani i szanowani w całej okolicy, a ja tymczasem zawsze miałem w sobie coś z włóczęgi. Zresztą przestałem im sprawiać kłopot, gdy miałem mniej więcej osiemnaście lat, bo wdałem się w kabałę o jedną dziewczynę i nie pozostawało nic innego, jak wziąć nogi za pas i zaciągnąć się do trzeciego pułku liniowego, który właśnie wyruszał do Indii. Nie było mi jednak sądzone długo służyć w wojsku. Ledwie zdołali mnie nauczyć kroku marszowego i obchodzenia się z karabinem, wpadła mi do głowy szaleńcza myśl, aby się wykapać w Gangesie. Na szczęście kapał się ze mną także sierżant z mojej kompanii, John Holder, jeden z najlepszych pływaków w całym pułku. Jak byłem akurat na środku rzeki, dopadł mnie krokodyl i odgryzł prawą nogę tuż pod kolanem tak pięknie i czyściutko, że mógłby mu pozazdrościć każdy chirurg. Z bólu, wrażenia i upływu krwi zemdlałem i niechybnie byłbym utonął, żeby nie Holder, który mnie wyciągnął na brzeg. Kiedy po pięciu miesiącach wyszedłem ze szpitala i mogłem kuśtykać na tej drewnianej nodze, przywiązanej do kikuta, zwolniono mnie z armii jako inwalidę i uznano za niezdolnego do służby czynnej.

Jak sobie możecie wyobrazić sytuacja moja była bardzo niewesoła, gdyż zostałem bezużytecznym kaleką nie mając jeszcze dwudziestu lat. Jednakże dzięki temu nieszczęściu poszczęściło mi się potem. Pewien człowiek, nazwiskiem Abel White, który przybył tam jako plantator indyga, potrzebował dozorcę nad swymi kulisami, a okazał się przy tym dobrym znajomym naszego pułkownika, który od czasu tego tragicznego wypadku interesował się moim losem. Krótko mówiąc, pułkownik bardzo gorąco polecił mnie na to stanowisko, a że jeździłem w czasie pracy przeważnie konno, moja drewniana noga nie stanowiła wielkiej przeszkody, bo kolanami mogłem dobrze utrzymać się w siodle. Moim zadaniem było jeździć po całej plantacji, dozorować ludzi i zdawać sprawę, kto się lenił. Wynagrodzenie było niezłe, mieszkałem wcale wygodnie i nie miałem nic przeciwko temu, żeby resztę życia spędzić na plantacji indyga. Pan Abel White był bardzo zacnym człowiekiem, często zachodził do mojej chaty, żeby ze mną wypalić fajkę, bo tam biali mniej patrzą, kto czym jest, tylko trzymają się bliżej i serdeczniej

aniżeli tutaj, w kraju. Niestety, szczęście nigdy nie dopisywało mi za długo. Pewnego razu, bez żadnego uprzedzenia, wybuchł wielki bunt na plantacjach. Jednego miesiąca całe Indie były ciche i zda się spokojne jak Surrey lub Kent, następnego zaś dwieście tysięcy czarnych diabłów powstało, a kraj zamienił się w istne piekło. Rzecz prosta, że panowie dobrze znacie te rzeczy, na pewno lepiej aniżeli ja, co nigdy nie byłem specjalnie skory do czytania. Wiem tylko to, na co patrzyłem własnymi oczami. Nasza plantacja znajdowała się w miejscowości Muttra, w pobliżu granicy północno-zachodniej. Noc po nocy niebo paliło się łuną pożarów, bo płonęły domostwa plantatorów, a co dnia przechodziły przez naszą plantację małe grupy Europejczyków, z żonami i dziećmi, udając się do Agry, gdzie stał najbliższy garnizon. Pan Abel White był człowiekiem bardzo upartym. Wbił sobie w głowę, że to wszystko przesada, że ten słomiany ogień wypali się tak szybko, jak wybuchł. Siedział więc na werandzie popijając whisky i paląc cygara, podczas gdy cały kraj wokół niego płonął. Rzecz prosta, że pozostaliśmy przy nim, ja i Dawson, który razem z żoną prowadził księgowość i administrację. Aż pewnego dnia nadszedł koniec. Wracałem właśnie z niedalekiej plantacji do domu, kiedy wzrok mój padł na jakiś przedmiot leżący na dnie głębokiego jaru. Podjechałem bliżej, aby się przekonać, co to może być, i przeszył mnie dreszcz przerażenia, gdy się przekonałem, że to pani Dawson, poćwiartowana na kawałki i na pół pożarta przez psy i szakale. Nieco dalej przy drodze leżał Dawson, martwy, z pustym rewolwerem w dłoni, a przed nim, jeden na drugim, czterej sipaje. Spiałem konia ostrogami, zastanawiając się, w którą stronę ruszyć, w tej samej jednak chwili zobaczyłem gęsty słup dymu nad domem Abla White. Przez dach zaczęły się już wydostawać języki ognia. Zrozumiałem, że nic nie mogę pomóc memu chlebobdawcy i że narażę tylko własne życie, jeżeli się włączam do walki. Z miejsca, gdzie się znajdowałem, widziałem setki czarnych diabłów, jeszcze w czerwonych kurtkach, jak tańczyli i wyli dokoła płonącego domu. Kilku wskazało mnie palcami i wkrótce kule zaczęły świstać mi koło uszu. Ruszyłem więc galopem przez pola ryżowe i dopiero późną nocą poczułem się bezpieczny poza murami Agry.

Jak się jednak potem okazało, i tutaj nie było bardzo pewnie. W kraju roiło się jak w ulu. Gdzie tylko mogły się zebrać małe grupy Anglików, tam trzymały się na placówkach, których bronili swymi karabinami, wszędzie indziej natomiast musieli uciekać. Była to walka setek przeciw milionom. A najokrutniejsze było, że ludzie, przeciw którym walczyliśmy, piechota, konnica i artyleria, to nasze własne wojska, które dopiero co szkoliliśmy. Walczyli teraz naszą własną bronią i zwoływali się głosem naszych własnych pobudek. W Agrze był trzeci pułk strzelców bengalskich, trochę Sikhów, dwa oddziały kawalerii i bateria dział. Z angielskich urzędników i kupców sformowano też ochotniczy pułk, do którego wstąpiłem i ja, bez względu na drewnianą nogę. W początku lipca spotkaliśmy się z rebeliantami w Shahgunge i nawet ich tam pobiliśmy, wkrótce jednak zabrakło nam prochu i musieliśmy wrócić do miasta.

Ze wszystkich stron nadchodziły najgorsze wiadomości, czemu zresztą nie można się było dziwić, bo jeżeli panowie spojrzycie na mapę, przekonacie się, że znajdowaliśmy się akurat w samym środku buntu — Lucknow jest trochę dalej niż sto mil na wschód, a Cawnpore mniej więcej tyle samo na południe. Zewsząd dochodziły tylko wieści o torturach, morderstwach i okrucieństwach.

Agra jest dużym miastem, rojącym się od fanatyków i różnego rodzaju czcicieli diabła. Garstka naszych ludzi gubiła się wprost wśród wąskich, krętych uliczek. Toteż nasz przywódca przeszedł rzekę i zajął pozycje w starym forcie Agry. Nie wiem, czy któryś z panów czytał kiedy lub słyszał o tym forcie. To bardzo dziwne miejsce, najdziwniejsze może, w jakim powstała moja noga, a muszę przyznać, że zjechałem kawał świata. Po pierwsze — olbrzymie, jeżeli chodzi o rozmiary. Sam obręb murów obejmuje chyba setki akrów. Jest tam część nowsza, gdzie ulokował się cały nasz garnizon, łącznie z kobietami, dziećmi, magazynami i wszystkim, i zostało jeszcze

bardzo dużo miejsca. Ta nowsza część jest jednak niczym w porównaniu ze starym tortem, gdzie nikt nie chodzi i który oddany jest na pastwę skorpionów i stonóg. Pełno tam wielkich, opuszczonych sal i krętych przejść, długich korytarzy wijących się tak, że bardzo łatwo w nich człowiekowi zabłądzić. Z tej też przyczyny mało kto się tam zapuszczał, chociaż od czasu do czasu grupy z pochodniami wyruszały, żeby poznać te zakamarki.

Wzdłuż frontowej ściany starego fortu przepływa rzeka, stanowiąc jakby naturalną obronę, ale z boków i z tyłu jest mnóstwo furt, które musiały być strzeżone, i to zarówno w starej części, jak i w tej, gdzie ulokował się nasz oddział. Było nas bardzo niewiele i ledwie wystarczyło na ustawienie wart w rogach budynku i obsługiwanie armat. To też stanowiło powód, że nie mogliśmy ustawić warty przy każdej z niezliczonych bram fortu. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to zorganizować centralną strażnicę w środku fortu, a przy każdej bramie ustawić jednego białego i dwóch lub trzech krajowców. Mnie powierzono nocną straż przy małej, odosobnionej bramie w południowo-zachodniej części fortu. Dostałem pod komendę dwóch Sikhów wraz z poleceniem, abym w razie niebezpieczeństwa wystrzelił z muszkietu, a wówczas nadejdzie pomoc z centralnej strażnicy. Ponieważ jednak strażnica była odległa o dobre dwieście jardów, dzielącą zaś nas przestrzeń zajmował labirynt przejść i korytarzy, miałem wielkie wątpliwości, czy odsiecz potrafiłaby przybyć na czas, gdyby zaszła tego konieczność.

Przyznam, że byłem bardzo dumny z tego skromnego dowództwa, jakie mi dano, ponieważ — prawdą mówiąc — byłem raczej surowym rekrutem, a do tego jeszcze kaleką. Przez dwie noce pełniłem straż z moimi Pendżabami. Były to wysokie chłopcy o okrutnym wyglądzie, Mahomet Singh i Abdullah Khan, stare wiarusy bojowe, którzy walczyli przeciwko nam w Chilian Wallah. Mówili doskonale po angielsku, niewiele jednak mogłem z nich wydobyć. Woleli stać razem i szwargotać całą noc w swym dziwnym narzeczu Sikh. Ja zaś sam stałem zwykle przed furtką, wpatrując się w szeroką, krętą rzekę i migające światła wielkiego miasta. Warczenie bębnow, bicie w tam-tamy i ryki powstańców, upojonych opium i innymi jakimiś narkotykami, przypominały nam przez całą noc o niebezpiecznych sąsiadach spoza rzeki. Dowódca nocnej straży obchodził co dwie godziny wszystkie posterunki, aby sprawdzić, czy panuje porządek.

Trzecia noc mojej straży była ciemna i chmurna, mżył drobny deszczyk. Niewesoła to służba stać tak przy furtce w okropną pogodę, godzina za godziną. Kilkakrotnie usiłowałem wciągnąć moich Sikhów w rozmowę, ale nadaremnie. O drugiej przeszła warta i przerwała nudę tej nocy. Widząc, że nie uda mi się nawiązać z kompanami rozmowy, odłożyłem na chwilę karabin, aby zapalić fajkę. W jednej chwili obaj Sikhowie skoczyli ku mnie. Jeden porwał mój karabin i wycelował mi w głowę, drugi zaś przyłożył mi do gardła nóż, przysięgając, że wbije go aż po rękajeść, jeżeli się poruszę.

Pierwszą moją myślą było, że Sikhowie są w zмовie z powstańcami i że jest to początek napadu. Jeżeli nasza brama znajdzie się w rękach Sipajów, to placówka musi paść, a z kobietami i dziećmi postąpią tak samo jak w Cawnpore. Może panowie pomyślą, że chcę się tu wybielić, ale daję słowo, że na myśl o tym, chociaż czułem na szyi ostrze noża, otworzyłem już usta do krzyku — a byłby to na pewno mój ostatni krzyk w życiu — aby zaalarmować strażnicę. Człowiek, który mnie trzymał, zdawał się odgadywać moje myśli, bo w chwili, kiedy właśnie zamierzałem krzyknąć, szepnął: „Nie rób hałasu. Fort jest zupełnie bezpieczny. Po tej stronie rzeki nie ma powstańczych psów”. Głos jego brzmiał prawdziwie, z drugiej zaś strony wiedziałem, że skoro krzyknę, zginę. Wyczytałem to w ciemnych oczach tego człowieka. Czekałem zatem w milczeniu, co ze mną zrobią.

„Posłuchaj mnie, sahibie — rzekł wyższy i bardziej dziki, ten, którego nazywano Abdullah Khanem. — Trzeba, byś teraz zdecydował: albo jesteś z nami, albo musisz zamilknąć na wieki. To dla nas sprawa zbyt ważna, żebyśmy się mieli wahać. Albo więc przysięgniesz na krzyż

chrześcijański, że duszą i ciałem jesteś z nami, albo jeszcze dzisiejszej nocy twoje ciało zostanie wrzucone do kanału, a my przejdziemy do naszych zbuntowanych braci. Trzeciej drogi nie ma. Cóż więc wybierasz: śmierć czy życie? Masz tylko trzy minuty do namysłu, bo czas biegnie, a wszystko musi być załatwione, nim przejdzie warta”.

„Jakżeż się mogę zdecydować — spytałem — skoro nie zdradziliście, czego ode mnie chcecie. Ale mogę wam powiedzieć od razu, że jeżeli to coś, co narazi na niebezpieczeństwo fort, nie mam z wami nic do gadania i możecie zaraz wbić mi nóż w piersi”.

„To nic takiego, co by zagrażało fortowi — odpowiedział. — Żądamy od ciebie tylko, żebyś zrobił to, po co wszyscy twoi rodacy tutaj przyszli. Chcemy, żebyś był bogaty. Jeżeli przyłączysz się do nas tej nocy, to na ten nagi sztylet przysięgniemy ci potrójną przysięgą, której jeszcze nigdy nie złamał żaden Sikh, że dostaniesz uczciwie przypadającą na ciebie część. Czwarta część skarbu będzie twoja. Przyznasz nam, że nie można uczciwiej postąpić”.

„Ale cóż to za skarb? — spytałem. — Równie chętnie jak i wy stanę się bogaty, powiedzcie tylko, jak się do tego zabrać”.

„A zatem przysięgniesz na kości swego ojca, na honor matki i na krzyż, w który wierzysz, że nie podniesiesz ręki i nie powiesz słowa przeciwko nam ani teraz, ani nigdy?”

„Przysięgam — odpowiedziałem — z zastrzeżeniem, że fort nie będzie narażony.

„A więc i mój towarzysz, i ja — odpowiedział — przysięgamy, że do ciebie należy czwarta część skarbu, który zostanie równo rozdzielony między nas czterech!”

„Ale nas jest przecie tylko trzech” — zauważyłem.

„Nie, Dost Akbar musi dostać swoją część. Opowiemy ci wszystko czekając na nich. Stań przy furcie, Mahomecie, i daj zaraz znać, jak ich zauważysz. Sprawa wygląda tak, sahibie, a mówię ci to dlatego, bo wiem, że twoja przysięga ma znaczenie i że możemy ci zaufać. Gdybyś był kłamcą — Hindusem, to choćbyś nawet przysięgał na wszystkie bogi w ich fałszywych świątyniach, nóż ten splamiłby się twoją krwią, a ciało mokłoby w wodzie. Ale Sikhowie znają Anglików, a Anglicy Sikhów. Słuchaj zatem, co ci powiem:

W północnych prowincjach mieszka pewien radża niezmiernie bogaty, chociaż kraj, nad którym panuje, jest niewielki. Dużo skarbów odziedziczył po ojcu, ale jeszcze więcej zebrał sam, bo taką już ma nikkzemną naturę, że woli gromadzić, niż wydawać. Gdy wybuchały niepokoje, potrafił żyć po przyjacielsku ze lwem i z tygrysem — z Sipajami i sahibami z Kompanii. Ostatnio jednak zdawało mu się, że przyszedł kres białego człowieka, zewsząd bowiem słyszał tylko o śmierci białych i obalaniu ich władzy. Ale ponieważ jest człowiekiem przezornym, taki sobie ułożył plan, że jaki by obrót przyjęły wypadki, co najmniej połowa fortuny miała mu pozostać. Całe złoto i srebro zatrzymał przy sobie, w podziemiach pałacu, natomiast najcenniejsze kamienie i najwspanialsze perły umieścił w żelaznej szkatule i wysłał przez zaufanego domownika, który w przebraniu kupca miał je zawieźć do fortu Agry na tak długo, póki znowu nie zapanuje w kraju spokój. Tym sposobem zapewnił sobie pieniądze na wypadek, gdyby zwyciężyli powstańcy, natomiast jeżeli Kompania miałaby być górą, ocalałyby mu klejnoty. Zadysonowawszy w ten sposób skarbem, przyłączył się do Sipajów, ponieważ zwyciężali na terenie jego państwa.

Tym sposobem, zauważ, sahibie, jego własność już przypada temu, kto pozostał wierny władzy. Ten mniemany kupiec, podróżujący pod nazwiskiem Achmeda, przebywa obecnie w mieście Agra i chce się przedostać do fortu. Towarzyszy mu w podróży mój przyrodni brat, Dost Akbar, który zna jego tajemnicę. Dost Akbar obiecał mu, że przyprowadzi go dzisiaj do jednej z bocznych bram fortu, i wybrał tę właśnie, gdzie stoimy. Ma niebawem nadejść i znajdzie tu mnie i Mahometa. Miejsce jest bardzo odludne i nikt nie będzie wiedział o ich przybyciu. Świat nie

dowie się już o kupcu Achmedzie, a wielki skarb radzy podzielimy między siebie. Co o tym myślisz, sahibie?”

W Worcestershire życie człowieka zdaje się rzeczą wielką i świętą, ale sprawa ma się zupełnie inaczej, kiedy dokoła płyną potoki krwi i szaleje pożoga, a na każdym kroku czyha śmierć. Czy kupiec Achmed będzie żył, czy nie — było mi najzupełniej obojętne, ale na wzmiankę o skarbie serce moje zadrżało i pomyślałem sobie, co też bym zrobił z taką wielką fortuną w starym kraju i co by moi starzy powiedzieli zobaczywszy, że ich syn marnotrawny wrócił z kieszeniami nabitymi złotem... Jużem się w duszy zdecydował, ale Abdullah Khan, myśląc, że jeszcze się waham, nalegał dalej.

„Zastanów się, sahibie — mówił — że jeżeli ten człowiek wpadnie w ręce komendanta, to albo go powieszają, albo rozstrzelają, a klejnoty zabierze rząd, tak że nikt nie zobaczy z tego ani rupii. Ale jeżeli to my go pojmiemy, dlaczego nie mielibyśmy załatwić całej sprawy do końca. Klejnotom będzie tak samo dobrze u nas jak i w kasach Kompanii. Wystarczy ich na to, aby każdy z nas stał się bogaczem i wielkim dowódcą. Nikt się nigdy nie domyślił prawdy, bo jesteśmy tutaj odcięci od świata. Lepiej nie mogło się wszystko ułożyć! Powiedz więc, sahibie, raz jeszcze, czy jesteś z nami, czy też mamy cię traktować jak wroga?”

„Jestem z wami duszą i ciałem”.

„To w porządku — rzekł zwracając mi karabin. — Jak widzisz, ufamy ci, sahibie, bo twoje słowo, podobnie jak i nasze jest niezłomne. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na przybycie kupca i mojego brata”.

„A czy twój brat wie, co zamierzacie zrobić?” — spytałem.

„To jego pomysł, on wymyślił ten plan. Podejdźmy do furty i pilnujmy razem z Mahometem”.

Bez przerwy padał rześisty deszcz, bo był to bowiem początek pory deszczowej. Brązowe, ciężkie chmury sunęły po niebie i trudno było zobaczyć coś dalej niż na rzut kamieniem. Przed bramą widniała wielka fosa forteczna, ale jeszcze gdzieśgdzie zupełnie płytka, tak że można ją było łatwo przebyć. Miałem dziwne uczucie, gdy tak stałem z dwoma dzikimi mieszkańcami Pendżabu czekając na człowieka, który zdążał ku swej śmierci.

Nagle po drugiej stronie fosy ujrzałem błysk zaciemnionej latarki. Chwilami zniknął wśród nierówności terenu, a potem ukazywał się na nowo, zmierzając powoli w naszym kierunku.

„Już nadchodzą” — krzyknąłem.

„Zapytaj o hasło, jak zwykle, sahibie — szepnął Abdullah — nie trzeba go przestraszyć. Wyślij z nim potem nas, a sam zostań tutaj na straży. I lepiej będzie tak trzymać latarnię, żeby ją można od razu odsłonić, bo trzeba się upewnić, czy to naprawdę on”.

Światło nie przestawało migać, choć zatrzymywało się, to posuwało naprzód, aż wreszcie rozróżniłem dwie ciemne postacie po drugiej stronie fosy. Pozwoliłem im ześliznąć się po stromym brzegu, przejść w fosę i dobrnąć do pół drogi pod górę, aż wreszcie zawołałem przyciszonym głosem:

„Kto tam?”

„Przyjaciele” — padła odpowiedź. Odsłoniłem latarnię i rzuciłem na nich snop światła. Pierwszy szedł olbrzymiego wzrostu Sikh z czarną brodą, sięgającą niemal do pasa. Nigdy nie widziałem człowieka tak wysokiego — może w cyrku. Drugi, mały, otyły i okrągły, miał wielki żółty turban i niósł jakiś duży pakunek owinięty szalem. Dygotał chyba ze strachu, bo ręce mu drżały jak w ataku febry i wciąż obracał się w prawo i w lewo, błyskając czarnymi oczkami, podobnie jak mysz, która boi się wyjść z nory. Przeszły mnie ciarki na myśl, że mamy go zabić, kiedy jednak wspomniałem o skarbie, serce mi stwardniało jak kamień. Ujrawszy białą twarz, wydał okrzyk radości i podbiegł ku mnie.



„Opieki, opieki, sahibie — dyszał — dla nieszczęśliwego kupca Achmeda. Przejechałem całą Radżputanę, aby schronić się w forcie Agry. Obrabowano mnie, pobito i lżono za to, że jestem przyjacielem Kompanii. Błogosławię tę noc, bo znowu znajduję się w bezpiecznym miejscu, ja i wszystko, co posiadam”.

„Co tam masz w tym zawiniątku?” — spytałem.

„Żelazne pudło — odpowiedział — a w nim kilka rodzinnych pamiątek, które nie przedstawiają żadnej wartości, ale dla mnie są cenne. Jednakże nie jestem żebrakiem i wynagrodzę cię, młody sahibie, ciebie i twego dowódcę, jeżeli mi udzielisz schronienia, o które proszę”.

Nie potrafiłem dalej rozmawiać z tym człowiekiem. Im dłużej patrzyłem na jego opasłą, przerażoną twarz, tym trudniej mi było pomyśleć, że zamordujemy go z zimną krwią. Najlepiej było mieć to już prędzej za sobą.

„Zaprowadźcie go na główną wartę” — powiedziałem. Dwaj Sikhowie stanęli po obu jego stronach, olbrzym zaś kroczył z tyłu. Tak przeszli przez ciemną bramę. Rzadko kiedy człowieka tak ze wszech stron otaczała śmierć.

Ich miarowe kroki rozległy się echem w pustych korytarzach. Nagle zamilkły i usłyszałem głosy, potem szarpaninę i uderzenia. Po chwili, ku memu przerażeniu, zaczął zbliżać się tupot nóg, a jednocześnie zdyszany oddech biegnącego człowieka. Zwróciłem światło latarni na długie, proste przejście i zobaczyłem tłuściocha biegnącego jak wiatr, z twarzą umazaną we krwi. Tuż za nim sadyli tygrysimi susami olbrzymi, czarnobrody Sikh, z sztyletem błyszczącym we wzniesionej ręce. W życiu nie widziałem człowieka, który biegłby tak szybko jak ten nieszczęsny kupiec. Pozostawiał Sikha coraz dalej za sobą i zrozumiałem, że jeżeli mnie ominie i wydostanie się na otwartą przestrzeń, zdoła się jeszcze uratować. Odczułem dla niego litość, ale myśl o skarbie sprawiła, że serce moje pozostało twarde i nieczułe. Gdy przebiegał koło mnie, rzuciłem pod nogi karabin, o który się potknął i przekoziółkował dwa razy jak postrzelony królik. Nim zdołał porwać się na nogi, Sikh już go dopadł i dwukrotnie wbił mu w bok ostrze sztyletu. Grubas pozostał tam, gdzie upadł, nie wydawszy nawet jęku ani się nie poruszywszy. Wydaje mi się, że chyba padając skreślił kark. Widzą panowie, że dotrzymałem obietnicy i mówię słowo w słowo tak, jak było, nie zważając, czy jest to na moją korzyść, czy nie.

Zamilkł i wyciągnął zakute w kajdanki ręce po szklanek whisky z wodą sodową, którą Holmes postawił obok niego. Muszę przyznać, że człowiek ten wzbudzał teraz we mnie niesłychane obrzydzenie, nie tylko z powodu popełnionego z zimną krwią morderstwa, ale może bardziej jeszcze z powodu impertynenckiego i niedbałego tonu opowiadania. Bez względu na to, jaka go czekała kara, nie mógł liczyć na moje współczucie. Sherlock Holmes i Jones siedzieli z rękoma wspartymi o kolana, słuchając z głębokim zainteresowaniem historii Smalla, ale i na ich twarzach malowały się podobne uczucia. Musiał to widocznie zauważyć, bo w jego głosie i zachowaniu pojawiło się coś jakby wyzwanie.

— Sam wiem, że to wszystko razem nie było bardzo pięknie — ciągnął dalej — ale chciałbym wiedzieć, kto na moim miejscu nie zgodziłby się na udział w zdobyczy, wiedząc, że w przeciwnym razie poderżną mu gardło. A prócz tego, skoro już raz znalazł się w forcie, sprawa szła o jego lub o moje życie. Gdyby mu się udało zbiec, cała historia by się wykryła, a mnie sąd polowy skazałby na niechybną śmierć. Bo w tym czasie ludzie nie byli bardzo skłonni do wyrozumiałości.

— Opowiadaj dalej — przerwał Holmes.

— Abdullah, Akbar i ja wynieśliśmy ciało. Chociaż taki niski, ważył diablo dużo. Mahomet Singh został, aby pilnować bramy. Zanieśliśmy go na przygotowane już przez Sikhów miejsce. Było to dość daleko, tam, gdzie kręty korytarz kończy się wielką pustą salą, której ściany

rozpadają się w gruzy. W jednym miejscu podłoga była zapadnięta i zrobił się jakby naturalny grób. Umieściliśmy więc tam kupca Ahmeda, przykrywszy go starannie cegłami. Po uporaniu się z tym, wróciliśmy do skarbu.

Leżał w tym samym miejscu, gdzie go upuścił Achmed, zaatakowany po raz pierwszy. Szkatuła była ta sama, którą tu panowie widzicie na stole. Przy rzeźbionej rączce na pokrywie wisiał na jedwabnym sznurku klucz. Otworzyliśmy szkatułę i światło latarni odbiło się tysiąckrotnie w tak cudownej kolekcji klejnotów, o jakich kiedyś czytywałem i marzyłem jeszcze jako chłopiec w Pershore. Od patrzenia bolały oczy. Nasyciwszy wzrok skarbem, wyjęliśmy wszystko i sporządzili listę. Były tam 143 brylanty pierwszej wody, a wśród nich jeden, co się chyba nazywał „Wielki Mogoł”, uważany był za drugi co do wielkości brylant na świecie. Oprócz tego 97 przepięknych szmaragdów i 170 rubinów, z których jednak niektóre były dość małe. Poza tym 40 karbunkułów, 210 szafirów, 61 agatów i olbrzymia ilość beryłów, onyksów, kocich oczek, turkusów i innych kamieni, których wtedy nie znałem nawet z nazw, chociaż od tej pory już się ich nauczyłem. Oprócz tego było tam prawie 300 bardzo pięknych pereł, z których 12 oprawnych w złoto. Nawiasem mówiąc, ten tuzin pereł został wyjęty ze szkatuły i nie było ich tam teraz, gdy skarb odzyskałem. Obliczywszy skarby włożyliśmy je na powrót do szkatuły i zanieśliśmy do bramy, aby pokazać Mahometowi. Wtedy ponowiliśmy uroczyste przysięgę, ślubując sobie wierność i tajemnicę. Postanowiliśmy ukryć skarb w bezpiecznym miejscu do czasu, kiedy w kraju się uspokoi, a potem podzielić się uczciwie. Nie miało sensu przeprowadzać podziału od razu, bo gdyby tak cenne klejnoty zostały przy nas znalezione, wzbudziłoby to podejrzenie. Zresztą ani w forcie, ani nigdzie indziej nie mieliśmy dość odosobnionych kwater, żeby je tam można trzymać. Zanieśliśmy zatem szkatułę do tej samej sali, gdzie pogrzebaliśmy ciało, i w najlepiej zachowanej ścianie zrobiliśmy otwór i wsunęli skarb. Zamarkowaliśmy sobie dobrze to miejsce, a nazajutrz narysowałem cztery plany, po jednym dla każdego z nas, i na dole postawiłem „Znak Czterech”, bo przysięgliśmy, że każdy będzie zawsze działał w imieniu wszystkich, tak by żaden nie mógł wyciągnąć korzyści tylko dla siebie. Mogę z ręką na sercu przysiąc, że nigdy w życiu ślubu tego nie zламаłem. Nie potrzebuję panu opowiadać, jak się zakończył bunt Hindusów. Zajęcie Delhi przez Wilsona, a Lucknow przez Sir Colina złamało niejako kręgosłup całej sprawie. Nadeszły świeże wojska, a Nana Sahib zbiegł przez granicę. Lotna kolumna pod komendą pułkownika Greathed wkroczyła do Agry i przepędziła powstańców. W kraju uspokajało się coraz bardziej i nasza czwórka zaczynała mieć nadzieję, że oto nadszedł czas, by się bezpiecznie podzielić zdobyczą. Ale trwało to krótko, bo nagle zostaliśmy aresztowani pod zarzutem zabójstwa Achmeda.

A stało się to tak: radża powierzył Achmedowi kosztowności, bo wiedział dobrze, że jest to człowiek godzien zaufania. Ludzie wschodu są jednak podejrzliwi. Cóż więc robi nasz radża? Bierze drugiego, jeszcze bardziej zaufanego sługę, i każe mu szpiegować pierwszego. Ten drugi miał nie spuszczać Achmeda z oczu i chodzić za nim krok w krok jak cień. Szedł więc za nim owego wieczora i widział, jak wchodził w bramę. Przypuszczał, rzecz prosta, że Achmed schronił się w forcie i na drugi dzień także poprosił o opiekę, ale nie mógł odnaleźć jego śladu. To mu się wydało tak dziwne, że wspomniał o tym sierżantowi, który z kolei powiedział komendantowi. Wszczęto dokładne poszukiwania i znaleziono ciało. Tak więc w momencie, gdy już byliśmy pewni, że wszystko jest na najlepszej drodze, całą czwórkę zaaresztowano i postawiono przed sądem pod zarzutem morderstwa: trzech z nas, bo byliśmy wówczas na straży przy bramie, a czwartego, gdyż stwierdzono, że przebywał w towarzystwie zamordowanego. Podczas procesu ani słowo nie padło na temat skarbu, bo radża został zdetronizowany i wygnany z Indii — nikt się więc nie interesował specjalnie losem klejnotów. Natomiast zabójstwa dowiedziano bez żadnej wątpliwości, jak również tego, że musieliśmy być wszyscy w nie zamieszani. Trzej

Sikhowie dostali dożywotnie więzienie, ja zaś karę śmierci, chociaż potem zmieniono mi ją także na dożywocie.

Znaleźliśmy się więc w dziwnej sytuacji. Wszyscy czterej byliśmy jak przykuci za nogę z niezwykle znikomą szansą wydostania się kiedykolwiek z więzienia, a jednocześnie każdy z nas znał tajemnicę, która mogła go przenieść do najwspanialszego pałacu, gdyby tylko mógł zrobić z niej użytek. To poczucie zamieniało życie człowieka w piekło, zwłaszcza że musieliśmy znosić szturchańce i kopniaki pierwszego lepszego dozorca, jeść ryż i pić wodę, a tymczasem na każdego z nas za murami więzienia czekała fortuna. Doprowadziłoby mnie to do szaleństwa, byłem jednak zawsze uparty jak kozioł, panowałem więc nad sobą i odsiadywałem swą karę, czekając okazji.

Nareszcie zdawało się, że nadeszła. Przeniesiono mnie z Agry do Madras, a stąd na wyspę Blair w Andamanach. Jest tam bardzo mało białych skazańców, a ponieważ zachowywałem się od początku wzorowo, więc też wkrótce przyznano mi pewne ulgi. Przydzielono chatę w Hope Town, małej miejscowości na stokach Mount Harriet, i pozostawiono stosunkowo dużo swobody. Było to ponure, nawiedzane febrą miejsce, otoczone przez dzikich krajowców–ludożerców, zawsze gotowych puścić na nas zatrutą strzałę, jeżeli tylko nadarzy się ku temu okazja. Pracowaliśmy przy melioracji, zakładaliśmy plantacje yamu i robiliśmy mnóstwo innych rzeczy, tak że cały dzień byliśmy zaharowani, wieczorem jednak mieliśmy trochę czasu dla siebie. Między innymi nauczyłem się przyrządzać lekarstwa przy doktorze i przyswoiłem sobie okruchy jego wiedzy. Przez cały czas wypatrywałem okazji ucieczki, byliśmy jednak oddaleni o setki mil od najbliższego lądu, a na tamtejszych wodach prawie nigdy nie ma wiatru albo jest bardzo mały — uciec więc było niesłychanie trudno.

Doktor Somerton był żywym, wesołym młodym człowiekiem. Inni młodzi urzędnicy spotykali się wieczorami u niego, by grać w karty. Ambulatorium, gdzie przygotowywałem leki, sąsiadowało z jego pokojem, do którego można było zajrzeć przez małe okienko. Często, gdy czułem się bardziej samotny, gasiłem lampę w ambulatorium i stanąwszy przy szybie przysłuchiwałem się ich rozmowom i obserwowałem grę. Sam bardzo lubię grać w karty, a przyglądanie się sprawiało mi niemal taką przyjemność, jak bym grał sam. Przychodził tam major Sholto, kapitan Morstan i porucznik Bromley Brown, którzy dowodzili lokalnym oddziałem wojska, następnie sam lekarz i dwu czy trzech urzędników więziennych, wytrawne wygi karciane, grające ostrożnie, chytrze i bez ryzyka. Bardzo dobrana kompania.

Niebawem jedno mnie uderzyło: przegrywali zwykle wojskowi, a wygrywali cywile. Proszę mnie źle nie zrozumieć, bynajmniej nie mówię, że szachrowano, ale tak już jakoś wypadło. Te typy z więzienia przez całe życie, to znaczy odkąd przebywali na Andamanach, nie robili nic innego poza grą w karty i doskonale znali swoje sposoby, podczas gdy tamci grali po prostu dla spędzenia czasu i rzucali karty byle jak. Wieczór za wieczorem wojskowi stawali się coraz ubożsi, a im bardziej ubożeli, tym bardziej pragnęli się odegrać. Najbardziej ucierpiał major Sholto. Początkowo grał na banknoty i złoto, ale wkrótce przyszło do weksli, i to na znaczne sumy. Niekiedy zdarzało się, że wygrywał kilka razy z rzędu, ale potem, jak by po dodaniu mu ducha, szczęście znowu się od niego odwracało, i to jeszcze gorzej niż przedtem. W dzień chodził nasepiony jak chmura gradowa i zaczął pić więcej, niż powinien.

Pewnego wieczoru przegrał wyjątkowo dużo. Siedziałem w swojej chacie, gdy przechodzili mimo z kapitanem Morstanem w drodze powrotnej do domu. Byli zażyłymi przyjaciółmi i przebywali prawie zawsze razem. Major wściekał się z powodu przegranej.

„To już koniec, Morstan — rzekł do kolegi, gdy przechodzili obok mej chaty. — Będę musiał podać się do dymisji, jestem zrujnowany”.

„Nie pleć głupstw, stary — odpowiedział przyjaciel klepiąc go po ramieniu. — I ja także miałem pecha, ale...”

Tyle tylko mogłem posłyszeć, ale to wystarczyło, by mi dać wiele do myślenia.

Kilka dni później major Sholto spacerował nad brzegiem, zaryzykowałem więc rozmowę.

„Chciałbym poprosić pana o radę, panie majorze” — powiedziałem.

„No, Small, o co chodzi?” — spytał wyjmując z ust cygaro.

„Chciałem pana spytać, kto pańskim zdaniem byłby odpowiednią osobą, której można by powierzyć ukryty skarb. Znam miejsce, gdzie leży skarb wart z pół miliona, a kiedy sam nie mogę z niego skorzystać, to pomyślałem, że chyba najlepiej zrobię, jak go przekażę odpowiednim władzom; może mi za to skrócić wyrok”.

„Pół miliona, powiadasz, Small?” — zdumiał się i popatrzył mi bystro w oczy, by zobaczyć, czy mówię serio.

„Tak jest, proszę pana. W klejnotach i perłach. Leży dostępny dla każdego. A najdziwniejsze to to, że jego właściciel jest osobą wyjętą spod prawa, tak że skarb będzie należał do pierwszego, kto go weźmie”.

„Do rządu, Small — wyjął — do rządu”.

Powiedział to jednak takim jakimś tonem, że od razu wiedziałem: połknął haczyk.

„Radzi mi pan zatem, majorze, zgłosić to gubernatorowi?” — spytałem spokojnie.

„No, no, nie powinieneś robić nic w zbytnim pośpiechu, bo mógłbyś potem żałować. Opowiedz mi wszystko, podaj fakty”.

Opowiedziałem mu całą historię, z nieznacznymi tylko zmianami, tak by nie mógł odgadnąć miejsca. Gdy skończyłem, stał pogrążony w myślach, jak skamieniały. Po drzeniu jego warg widziałem, że toczy się w nim jakaś walka.

„To bardzo ważna sprawa, Small — rzekł w końcu. — Nie powinieneś mówić o tym ani słowa nikomu, a ja się z tobą niedługo porozumiem”.

Dwa dni potem, pod osłoną nocy, on i jego przyjaciel, kapitan Morstan, przyszli do mojej chaty, świecąc sobie latarnią.

„Chciałbym, żeby kapitan Morstan usłyszał tę całą historię z twoich własnych ust” — powiedział.

Powtórzyłem więc wszystko tak, jak poprzednio.

„To brzmi prawdopodobnie, co? — spytał. — Czy można na tej podstawie coś przedsięwziąć?”

Kapitan Morstan skinął głową.

„Posłuchaj no, Small — rzekł major. — Ja i mój przyjaciel omówiliśmy dokładnie całą sprawę i doszliśmy do przekonania, że właściwie nie powinno to obchodzić rządu, gdyż jest to wasza prywatna sprawa i macie prawo zadysponować tym skarbem, jak się wam podoba. Teraz zachodzi pytanie: jakiej ceny za to żądacie? Bylibyśmy skłonni podjąć się tego, a przynajmniej to sobie rozważyć, jeżeli dojdziemy do porozumienia co do warunków”. — Starał się mówić obojętnym, niedbałym głosem, ale jego oczy błyszczały podnieceniem i chciwością.

„Jeżeli o to idzie, proszę panów — usiłowałem mówić głosem równie obojętnym, ale czułem podobne podniecenie — człowiek w mojej sytuacji może zaproponować tylko jedno: Chciałbym, aby mi panowie dopomogli odzyskać wolność, mnie i moim trzem kolegom. Przyjmujemy was wówczas do spółki i odstąpimy piątą część do podziału”.

„Hm... — odpowiedział. — Piątą część... to nie bardzo nęące”.

„Dla każdego z panów przypadnie 50 000”.

„Ale jak pomóc wam w odzyskaniu wolności? Sami dobrze rozumiecie, że żądacie niemożliwości”.

„Nic podobnego — odpowiedziałem. — Wszystko obmyśliłem w najdrobniejszych szczegółach. Jediną przeszkodą w naszej ucieczce jest brak łodzi i zapasów żywności na tak długi okres czasu. W Kalkucie i Madras jest mnóstwo małych żaglówek, które by mogły doskonale posłużyć naszym celom. Niech panowie zdobędą jedną. Dostaniemy się na pokład w nocy, a jeżeli panowie zechcecie wysadzić nas w jakimkolwiek porcie na wybrzeżu Indii, wasza część umowy zostanie wykonana”.

„Gdyby to chodziło tylko o jednego człowieka” — rzekł.

„Żaden albo wszyscy — odpowiedziałem. — Przysięgliśmy na to wszyscy czterej, że będziemy zawsze działać wspólnie.

„Widzisz, Morstan — wtrącił — Small dotrzymuje słowa. Nie pozostawi przyjaciół. Sądzę, że możemy mu zaufać”.

„To paskudna sprawa — odparł drugi. — Chociaż, jak powiadasz, pieniądze byłyby dla nas zbawieniem”.

„A więc, Small — powiedział major — przypuszczam, że musimy spróbować pójść ci na rękę. Po pierwsze, trzeba oczywiście zbadać prawdziwość twego opowiadania. Powiedz mi, gdzie jest schowana szkatuła, a ja poproszę o urlop i pojadę do Indii statkiem, który nam przywozi żywność. Tam rozejrzę się w sytuacji”.

„Nie tak prędko — powiedziałem, stygnąc w miarę, jak on się zapalał. — Muszę zyskać zgodę moich trzech towarzyszy. Wspomniałem już panom, że albo czterej, albo żaden”.

„Bzdury! — wybuchnął. — Co mają trzej czarni do naszej umowy?”

„Czarni czy niebiescy — odparłem — to są moi towarzysze i działamy wszyscy razem”.

Sprawa skończyła się drugim spotkaniem, w którym wzięli udział Mahomet Sing, Abdullah Khan i Dost Akbar. Znowu omówiliśmy warunki i doszliśmy do porozumienia. Mieliliśmy zaopatrzyć oficerów w plany fortu Agry i zaznaczyć to miejsce w ścianie, gdzie zamurowaliśmy szkatułę. Major Sholto miał się udać do Indii, żeby sprawdzić nasze opowiadanie. Gdyby znalazł szkatułę, miał ją zostawić na miejscu, wysłać małą żagłówekę zaopatrzoną w żywność na dłuższą podróż na wyspę Rutland, dokąd mieliśmy się udać. Wreszcie miał wrócić do swych obowiązków. Kapitan Morstan miał się wówczas postarać o urlop i spotkać nas w Agrze, gdzie miał się odbyć ostateczny podział skarbu — przy czym on miał wziąć część swoją i majora. Wszystko to przypieczętowane zostało najbardziej uroczystą przysięgą, jaką można sobie wyobrazić. Przesiedziałem całą noc nad papierem i atramentem, a na rano miałem gotowe dwie mapki podpisane „Znakiem Czterech” — Abdullaha, Akbara, Mahometa i moim.

Zanudzam panów długim opowiadaniem i wiem, że mój przyjaciel, pan Jones, czeka z niecierpliwością, aby położyć na mnie rękę. Postaram się streścić. Ten łajdak Sholto pojechał wprawdzie do Indii, ale po to, aby nigdy nie wrócić. Kapitan Morstan pokazał mi jego nazwisko na liście pasażerów jednego ze statków pocztowych, który odpłynął do Anglii wkrótce potem. Zmarł mu wuj, pozostawiając znaczną fortunę, wobec czego Sholto wystąpił z armii. Mimo to jednak tak podle postąpił w stosunku do pięciu ludzi. Niezadługo potem kapitan Morstan pojechał do Agry i — jak się tego spodziewaliśmy — stwierdził, że szkatuła zginęła. Ten łotr skradł ją, nie wypełniwszy ani jednego warunku, pod którym zdradziłem mu sekret. Od tego dnia żyłem wyłącznie myślą o zemście. Dzień i noc nie mogłem myśleć o niczym innym — stało się to jakąś przemożną, niesamowitą pasją. Nic mnie nie obchodziło prawo czy szubienica. Jediną myślą, która mnie nurtowała, było uciec, wysledzić Sholto, chwycić go za gardło. Nawet skarb Agry mniejsze już miał dla mnie znaczenie.

Muszę powiedzieć, że nieraz w życiu upierałem się przy zrobieniu czegoś i nigdy się nie zdarzyło, żebym nie dopiął zamierzonego celu. Minęło jednak wiele żmudnych lat, zanim nadszedł mój czas. Wspomniałem już, że liznałem trochę medycyny. Pewnego razu, gdy właśnie

doktor Somerton miał atak febry, banda skazańców schwyciła w lesie małego wyspiarza andamańskiego. Był śmiertelnie chory i poszedł w to odludne miejsce, aby umrzeć. Zająłem się nim, mimo że był jadowity jak młoda żmija, a po dwóch miesiącach doprowadziłem do zupełnego wyzdrowienia. Jakoś się do mnie wtedy bardzo przyzwyczaił, nie chciał wracać do lasu i kręcił się stale koło mojej chaty. Nauczyłem się od niego trochę ich języka, co go jeszcze bardziej do mnie przywiązało.

Tonga — tak się bowiem nazywał — był pierwszorzędnym wioślarzem i miał własne, spore czółno. Przekonawszy się, że jest mi szczerze oddany i uczyni, co może, aby mi się przysłużyć, ujrzałem szansę ucieczki. Omówiłem z nim wszystko. Miał w nocy podpłynąć czółnem do opuszczonej i nie strzeżonej przystani i stamtąd mnie zabrać. Kazałem, by się zaopatrzył w wodę do picia i przygotował zapas yamów, orzechów kokosowych i patatów.

Mały Tonga był dzielny i wierny. Nikt chyba na świecie nie może się poszczycić bardziej lojalnym przyjacielem. Umówionej nocy czekał na mnie w przystani. Pech jednak zrzucił, iż nadszedł tam jeden z dozorców, podły Pathan, który nigdy nie przepuścił okazji, by mi dokuczyć i obrzucić obelgami. Zawsze sobie obiecywałem, że się na nim zemszczę i oto nadeszła okazja. Zdawało się, że to sama opatrność postawiła go na mojej drodze, abym wziął na nim odwet przed opuszczeniem wyspy. Stał nad brzegiem, zwrócony do mnie plecami, trzymając karabin na ramieniu. Rozejrzałem się za jakimś kamieniem, żeby mu rozbić czaszkę, nic jednak nie znalazłem. Wówczas dziwna myśl wskazała mi, gdzie mam poszukać właściwej broni. Usiadłem na ziemi i w ciemności odpasłem drewnianą nogę. Trzema susami byłem przy nim. Porwał karabin, ale uderzyłem go z całej siły, rozbijając przód czaszki. Można jeszcze teraz zobaczyć na mojej nodze odłamany kawałek drzewa w tym miejscu, którym zadałem cios. Upadliśmy obaj na ziemię, bo straciłem równowagę, gdy jednak wstałem, leżał bez ruchu. Wskoczyłem więc do łodzi i po godzinie znaleźliśmy się na pełnym morzu. Tonga zabrał ze sobą cały dobytek: swoją broń i swoich bogów. Między innymi miał długi, bambusowy oszczep i andamańską matę kokosową. Zrobiłem z tego żagiel. Dziesięć dni pływaliśmy po morzu, zdając się na los, aż jedenastego dnia wziął nas na pokład statek handlowy, udający się z Singapore do Jiddah z pielgrzymami malajskimi. Dziwaczna to była banda, ale obaj z Tongą wkrótce się z nimi pokumaliśmy. Mieli jedną bardzo dobrą cechę: pozostawiali człowieka w spokoju i nie zadawali mu żadnych pytań.

Gdybym chciał opowiedzieć panom wszystkie przygody, jakie się przytrafiły mojemu małemu kompanowi i mnie, nie byłibyście zadowoleni, bo trzeba by tu siedzieć chyba do wschodu słońca. Włóczyliśmy się tu i tam po świecie, bo zawsze coś się takiego zdarzyło, że nie mogliśmy dotrzeć do Londynu. Przez cały czas jednak ani na chwilę nie zapomniałem o moim celu. Nocami śnił mi się Sholto. Nie raz, ale sto razy zabijałem go we śnie. Lecz w końcu, w jakieś trzy czy cztery lata, dobrnęliśmy do Anglii. Bez większych trudności odkryłem miejsce pobytu majora i starałem się zbadać, czy wydał już cały skarb, czy też go jeszcze posiada. Zawarłem znajomość z kimś, kto mógł mi być pomocny. Nie chcę tu wymieniać żadnych nazwisk, by nie wpakować jeszcze kogoś do więzienia. Wkrótce dowiedziałem się, że klejnoty są nadal w posiadaniu majora. Starałem się dostać go w ręce różnymi sposobami, ale był niezwykle przebiegły i miał zawsze przy sobie, prócz synów, dwu eks-bokserów i hinduskiego służącego, którzy go strzegli.

Jednakże pewnego dnia doszła mnie wiadomość, że jest umierający. Pospieszyłem natychmiast do ogrodu otaczającego dom, wściekły, że w ten sposób gotów jest ująć mej zemście. Zajrzawszy przez okno zobaczyłem go na łóżku, a po obu stronach stojących synów. Byłbym od razu wskoczył do pokoju i załatwił się ze wszystkimi trzema, gdyby nie to, że zobaczyłem, jak opadła mu szczęka i zrozumiałem, że nie żyje. Tej samej nocy dostałem się do jego pokoju i przejrzałem papiery w poszukiwaniu jakiejś wzmianki o miejscu, gdzie ukrył

klejnoty. Nie znalazłem jednak ani słowa, odszedłem więc zgorzkniały i wściekły. Nim opuściłem pokój, pomyślałem sobie, że jeżeli jeszcze kiedykolwiek w życiu spotkam moich przyjaciół Sikhów, przyjemnie będzie im się dowiedzieć, że pozostawiłem jakiś ślad mojej nienawiści, nakreśliłem przeto na kartce nasz „Znak. Czterech”, tak jak był wyobrażony na planie, i przypiąłem zmarłemu do piersi. Nie mogłem znieść myśli, że zostanie pochowany bez jakiejś pamiątki od ludzi, których ograbił i oszukał.

Zarabialiśmy na życie w ten sposób, że pokazywałem na jarmarkach i widowiskach mojego małego Tongę jako czarnego ludożercę. Zjadał surowe mięso i tańczył swój rodzimy taniec wojenny. Zawsze więc po takim dniu mieliśmy trochę pieniędzy w kapeluszu. Stale interesowałem się wszelkimi wiadomościami z Pondicherry Lodge. Przez kilka lat nie dowiedziałem się nic poza tym, że poszukiwania skarbu trwają nieustannie. Nareszcie jednak nadeszła pożądana wieść, skarb został znaleziony. Był ukryty na strychu, nad laboratorium chemicznym Bartholomeusa Sholto. Pojechałem tam natychmiast i obejrzałem sobie wszystko, nie widziałem tylko możliwości dostania się na strych z moją drewnianą nogą. Oprócz tego dowiedziałem się jeszcze o istnieniu kłapy w dachu i o godzinie, kiedy pan Sholto zwykł schodzić na dół na kolację. Pomyślałem, że uda mi się wykonać moje zadanie przy pomocy Tongi. Przyprowadziłem go więc ze sobą i opasałem grubą liną. Potrafił czołgać się jak kot, wkrótce też znalazł się na dachu. Na swoje i nasze nieszczęście jednak, pan Sholto był jeszcze w pokoju. Tonga przekonany, że doskonale robi, zabił go, i gdy wspiąłem się na rękach po linie, paradował po pokoju, dumny jak paw. Bardzo się też zdziwił, gdy go zacząłem smagać końcem sznura i wymyślać od krwiożerczych diabłów. Zabrałem szkatułę, spuściłem na dół i sam ześliznąłem się za nią, zostawiając na stole „Znak Czterech” jako dowód, że skarb znajduje się obecnie w rękach prawych właścicieli. Tonga wciągnął linę, zamknął okno i wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Zdaje mi się, że nie mam nic więcej do powiedzenia. Słyszałem, jak jeden z rybaków mówił o szybkości „Aurory”, doszedłem więc do przekonania, że nada się właśnie do ucieczki. Porozumiałem się ze starym Smithem i obiecałem pokazać sumę za bezpieczne dowiezienie nas do naszego statku. Domyślał się prawdopodobnie, że coś tutaj nie klapuje, nie wtajemniczaliśmy go jednak w nasze sekrety. Wszystko, co powiedziałem, to najszczerza prawda. Jeśli to panom opowiadam, to nie dlatego, żeby was zabawić, bo nie bardzo ładnie żeście mi się przysłużyli, ale ponieważ myślę, że najlepszą moją obroną jest wyznanie całej prawdy i udowodnienie, jak podle postąpił wobec mnie major Sholto i jak mało winy ponoszę za śmierć jego syna.

— Bardzo ciekawe sprawozdanie — zauważył Sherlock Holmes. — Śliczne zakończenie niezwykle interesującej sprawy. W ostatniej części opowiadania nie znalazłem dla siebie nic nowego poza tym, że przynieśliście ze sobą własny sznur. Tego nie wiedziałem. Aha, i jeszcze coś. Spodziewałem się, że Tonga zgubił wszystkie strzały, a tymczasem udało mu się wystrzelić na nas jeszcze jedną.

— Zgubił wszystkie, proszę pana, z wyjątkiem tej, która tkwiła w rurce.

— Ach, oczywiście — rzekł Holmes — nie pomyślałem o tym.

— Czy jeszcze coś chcieliby panowie wiedzieć? — spytał uprzejmie skazaniec.

— Dziękuję, zdaje się, że już nic — odpowiedział mój towarzysz.

— Panie Holmes — rzekł Antheley Jones — jest pan człowiekiem, którego zachcianki należy spełniać, i wszyscy wiemy, że jest pan wielkim znawcą zbrodni. Ale służba jest służbą i uważam, że posunąłem się za daleko, ulegając prośbie pana i pańskiego przyjaciela. Czuję się znacznie lepiej, gdy będę wiedział, że nasz rozmówca jest bezpiecznie ulokowany pod kluczem. Dorożka jeszcze czeka, a na dole stoją dwaj policjanci. Jestem obydwu panom bardzo zobowiązany za pomoc. Rzecz prosta, zostaną panowie wezwani na sprawę. Dobranoc.

— Dobranoc obydwu panom — dodał Jonathan Small.

— Proszę przodem, Small — zauważył przekorny Jones, gdy wychodzili z pokoju — muszę szczególnie uważać, żebyś mnie nie potracił swą drewnianą nogą, korzystając z dawnego doświadczenia na Wyspach Andamańskich.

— No, i oto kończy się przedstawienie — powiedziałem po ich wyjściu, kiedy siedzieliśmy chwilę w milczeniu, paląc papierosy. — Obawiam się, że była to dla mnie ostatnia sposobność studiowania twoich metod pracy. Panna Morstan bowiem uczyniła mi zaszczyt godząc się zostać moją małżonką.

Holmes jęknął nad wyraz ponuro.

— Obawiałem się tego. Naprawdę, nie mogę się zdobyć na gratulacje.

Byłem trochę dotknięty.

— Czyżbyś miał jakieś powody do niezadowolenia z mojego wyboru? — zapytałem.

— Nic podobnego. Uważam ją za jedną z najbardziej czarujących kobiet, jakie spotkałem w życiu, i za wielką pomoc ewentualnie w takich sprawach jak ostatnia. Wykazuje w tym kierunku zdecydowany talent. Świadczy o tym chociażby fakt, że spośród wszystkich innych papierów ojca przechowała akurat plan Agry. Ale miłość jest sprawą uczucia, a gdzie miesza się uczucie, tam ustępuje chłodny, trzeźwy rozsądek, który ja stawiam ponad wszystko inne. Toteż sam nigdy się nie ożenię, wpłynęłoby to bowiem bardzo niekorzystnie na mój rozsądek.

. — Mam nadzieję — rzekłem ze śmiechem — że mój rozsądek wytrzyma tę próbę. Ale jesteś zmęczony, Holmesie.

— Tak odczuwam już reakcję. Jestem pewien, że teraz przez tydzień będę zupełnie oklapły.

— To dziwne — rzekłem — jak u ciebie nastroje się zmieniają. Po napadzie tego, co u innego człowieka nazwałbym lenistwem, następują okresy wspaniałej energii i wigoru.

— Tak, siedzi we mnie pierwszorzędny próżniak i niezwykle czynny jegomość. Często przychodzą mi na myśl słowa Goethego:

*Schade dass die Natur nur einen Mensch aus dir schuf,  
Denn zum wurdigen Mann war und zum Schelmen der Stoff.*

Aha, ale wracając do tej norwoodzkiej sprawy, przekonałeś się, jak twierdziłem od razu, że mieli w domu współnika, którym nie mógł być nikt inny jak Lal Rao. Tak więc Jones ma istotnie niepodzielny zaszczyt złowienia jednej ryby podczas tego wielkiego połowu.

— Podział wydaje mi się raczej niesprawiedliwy — zauważyłem. — Właściwie wszystko w tej sprawie zrobiłeś ty. Ja zdobyłem żonę, Jones uznanie, a co zostaje dla ciebie?

— Dla mnie? Dla mnie zawsze jeszcze pozostaje kokaina — i z tymi słowy Sherlock Holmes wyciągnął po nią szczupłą dłoń.